Nr. 15. Kraków, 1 Sierpnia 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . . . . . 1 „ 80 „
miesięcznie . . . . . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Floryańskiej L. 32, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

WOJNA a POKÓJ.

Dnia 28-go b. m. czwarty kongres przyjaciół pokoju rozpocznie swe obrady w szwajcarskim Bernie, i to pod przewodnictwem dawnego prezydenta związkowego: Ludwika Richonnet'a. Pierwotnie usiłowania „przyjaciół pokoju“ zmierzały głównie do tego, aby powstał międzynarodowy trybunał rozjemczy, którego wyroki mogłyby zapobiedz zatargom wojennym. Z czasem z tym projektem połączył się drugi: utworzenie międzynarodowej „komsisyi parlamentarnej,“ złożonej z delegatów wszystkich sejmów europejskich. Tą kwestyą głównie zajął się trzeci kongres, który obradował w Rzymie od 3-go do 6-go listopada r. z. Przyszły kongres ma dokonać organizacyi międzynarodowej komisyi parlamentarnej. Że jej nie dokona w sposób zadawalający, łatwo przewidzieć. W różnych parlamentach stronnictwa walczą z sobą z namiętnością, która wszelkie porozumienie pomiędzy obywatelami tego samego państwa czyni niemożliwem. Jakżeby zatem przypuszczać można, że parlamenty różnych narodów, pałających wzajemną nienawiścią, jak zwłaszcza Francuzi i Niemcy, mogły się porozumieć za pomocą komisyi międzynarodowej. Wpływowe czynniki parlamentarne nie wezmą w niej udziału. Udział zaś w komisyi kilkudziesięciu deputowanych bez wpływu nie nada jej żadnej powagi, ani nawet w obec parlamentów, a tem mniej w obec ministrów spraw zagranicznych i wojny. *)

Sama zresztą podstawna zasada tych kongresów pokojowych jest wątpliwą. Na pozór powinno się zdawać, że wojna jest czemś strasznem, tak sprzecznem z naturą ludzką i z zadaniem ludzkości, że zasługuje na bezwzględne i powszechne potępienie. W ostatnich czasach uczeni niemieccy i francuzcy szczegółowo obliczyli straty wojenne swych narodów. Według artykułu, ogłoszonego w znanem czasopiśmie miesięcznem: *Deutsche Rundschau*, w Niemczech od czasów Varrusa aż do 1870 r. stoczono 214 wielkich bitew, w których poległo 4,000,000 a nawet według innych obliczeń, 8,000,000 wojowników, nie licząc włościan i mieszczan, starców, dzieci i kobiet, którzy wojnę przypłacili utratą życia lub mienia. Zburzono przeszło 5,000 warownych zamków, obrócono w gruzy 1,300 miast, spalono 125,000 wsi i osad. Gdyby zebrać razem wszystką krew ludzką, wytoczoną na pobojowiskach niemieckich, wypełniłaby ona wszystkie jeziora szwajcarskie i łożyska 8-iu największych rzek Europy środkowej. Z kości ludzkich możnaby ułożyć pasmo gór, równające się Schwarzwaldowi. Dla koni, które brały udział w tych bitwach, gdyby je wszystkie zebrać dzisiaj, nie starczyłoby obecnie pastwisk we wszystkich pięciu częściach świata!

Równocześnie dr. Lagneau wręczył Akademii francuzkiej pamiętnik, wykazujący, według źródeł urzędowych, straty francuzkie, poniesione w wojnach od r. 1791 do 1891. Co naprzód dotyczy epoki wielkich wojen republiki od r. 1791 do 1799, powołano wtedy pod chorągiew 2,000,000 Francuzów, z których poległo 720,000 żołnierzy, a według innych obliczeń 1,500,000; od r. 1799 do 1855 służbę wojskową pełniło 3,153,598 ludzi. Z tych zginął milion w bitwach, drugi milion w szpitalach. Od r. 1815 do 1851, pomimo wojny w Algeryi, straty były skromne. W wojnie krymskiej zginęło 95,615 Francuzów, we włoskiej 1859 r. zaś 12,173. Strat kampanii meksykańskiej urzędownie nie ogłoszono, jednak można obliczyć, że awantury cesarstwa od 1851 do 1869 roku pozbawiły życia 350,000 Francuzów. Straty wojny niemieckiej 1870 i 1871 r. Lagneau oblicza w taki sposób: W r. 1866 Francya liczyła 38,192,064 mieszkańców, z których na Alzacyę i Lotaryngię przypadało 1,597,238. Spis ludności z r. 1872 wykazuje 36,102,921 mieszkańców. Od 1866 r. ludność powiększała się rocznie o 3,6%, a zatem powinna była powiększyć się aż do r. 1872 o 816,900 dusz, gdy tymczasem spis ludności tego roku wykazał ubytek 491,905 dusz. Wojna niemiecka i rokosz komuny przyprawiły więc Francyę o stratę 1,308,805 dusz. Wogóle sama tylko Francya w ciągu ostatnich stu lat straciła w wojnach około 4,000,000 wyborowych ludzi. Dopełniając te cyfry stratami innych państw, o których nie mamy pod ręką równie dokładnych obliczeń, otrzymamy przerażający obraz klęsk, o jakie ludzkość przyprawiają wojny, tudzież najpotężniejszy argument na poparcie owego pragnienia filantropów, które przed tylu wiekami uroczyście wygłosił Dante śpiewając: *Io vo gridando: pace, pace, pace.*

Pozwólmy jednak zabrać głos także obrońcom wojny. Najsławniejszy tegoczesny poeta włoski Carducci w r. z. zaprotestował przeciwko usiłowaniom ligi pokoju wierszem pod napisem: *La guerra.* Na czele przytacza uwagę znanego publicysty włoskiego Cattaneo: „W skutek namiętności ludzkich wojna na ziemi nie ustaje. Lecz wojna sama razem z podbojami, z niewolą, z wygnaniem, z kolonizacyą, z sojuszami, wprowadza w związek między sobą najodleglejsze ludy; tworzy ona, mieszając je, nowe plemiona, języki i religie, oraz nowe narody o wyższej cywilizacyi i doskonalszym ustroju społecznym; ona tworzy prawo narodów, stowarzyszenie rodu ludzkiego, a nawet świat filozofii.“ Od siebie Carducci opowiada, jak według podania starożytnego, Prometeusz wlał w bryłę gliny siłę lwa, i powstał człowiek, ziejąc odrazu wojną; jak pierwszy robotnik w świecie zabił brata, nie chcąc mieć współzawodnika; jak prosta pałka, która się stała bronią w ręku człowieka, nadaje mu ostateczne zwycięstwo nad zwierzem pustyni; człowiek, natchniony krwawym promieniem słońca, przeistacza głaz w straszne narzędzie, przydatne do mordowania innych; krew ludzka, zalewająca pola, była pierwszym użyźniającym nawozem, a żądza panowania nad innemi pcha naprzód człowieka, który rzuca na wodę wydrążony pień, a wojna przelatuje świat cały, jak rumak, uwolniony od cugla i wędzidła; walczą między sobą religie, walczą części świata, Azya i Europa; wojownikiem był awanturnik, uzbrojony tarczą i mieczem, który się puścił na morze, aby nowe kraje poddać władzy króla Hiszpanii. Straszny a wzniosły szał pędzi ludzi przez pustynie do Oceanu, jednego przeciw drugiemu, razem z bogami, z tajemnicami przyszłości i skarbami wszelkiej nauki.

Z naukową ścisłością świeżo pożytki wojny wyłożył profesor Dargun w rozprawie: *O znaczeniu cywilizacyjnem wojny.* Wykazuje on przedewszystkiem, że głównie wojna wytworzyła narody, kojarząc pewne grono ludzi pod naciskiem żelaznej potrzeby, w celu obrony przeciwko silniejszym sąsiadom. Dlatego trwałe związki szczepowe i narodowe powstały tylko tam, gdzie ludzie byli narażeni na nieustające i wielkie niebezpieczeństwa. Organizacya państwowa wytworzyła się z pierwotnej organizacyi wojskowej. „Pierwszym królem był szczęśliwy żołnierz,“ powiada Voltaire. Wojna dalej przyczyniła się właśnie do powstania i rozwoju miast, które z początku są twierdzami, służącemi jako miejsce schronienia ludowi, w przypadku napadu nieprzyjacielskiego, Wojna była także piastunką religii. Wiara Buddy i Mahometa zapanowała szeroko za pomocą miecza. Chrześcijaństwo nie byłoby się tak szeroko rozszerzyło, gdyby Cezar nie był utwierdził panowania rzymskiego nad tak znaczną częścią Europy. Nawrócenie Franków, Węgrów i t. d. pozostawało w przyczynowym związku z wydarzeniami wojennemi. Wyprawy wojenne najznaczniej przyspieszyły rozwój nauk geograficznych. Główne drogi komunikacyjne były pierwotnemi szlakami wojennemi. Technika kamienia, żelaza i śpiżu rozwijała się pod wpływem rozwoju broni. Malarstwu i poezyi wojna dotychczas dostarcza najobfitszych tematów. Słowem, prawo, przemysł i sztuka, mimo aforyzmu: *Inter arma silent musae*, zawdzięczają bardzo wiele wojnie.

Gdy tak sprzeczają się znakomici obrońcy i przeciwnicy wojny, oczywiście jeszcze jest daleka ta chwila zgody powszechnej, któraby tworzyła podstawę realną dla zabiegów ligi pokojowej.

*) Z posłów galicyjskich wezmą udział w kongresie: pp. Gniewosz, Lewakowski i Roszkowski.

Z cyklu pieśni:

„Z DOMU NIEWOLI.“

Po upływie smutnych lat
Pójdziemy w słoneczny świat,
Kwiatem zarosną mogiły
I duch odrodzonej siły
Wykwitnie z epoki strat.

W silną wolę ty się zbrój,
W głowie jeszcze myśli kuj,
W serce bierz uczucia nowe,
Szykuj myśli hufce zdrowe,
I tak w pogotowiu stój.

Idzie piękny, jasny dzień
Na fali wiosennych tchnień,
A kiedy przeczucia wschodzą —
Silne z nich się czyny rodzą
Przed którymi pierzcha cień.

Porzuć ty cmętarną cieśń,
Z serca zetrzyj smutku pleśń,
Nad mogiły i nad trumny
Wyleć silny, śmiały, dumny,
Życiodajną nucąc pieśń.

Dzień zwycięża czarną noc,
Po przemocy idzie — moc,
Znów ulegnie w dziejach świata
Ślepa przewaga Goliata
Ciosom dawidowych proc.

Szczęsna.

O SŁOWACKIM.

(Uwagi nad „Lillą Weneda“)

napisał Dr. Henryk Monat.

(Ciąg dalszy)

Jest on pradziadem Harmidera, którego Słowacki w „Janie Kazimierzu“ chciał odmalować z widoczną intencyą stworzenia polskiego Falstaffa. Do Falstaffa Ślaz ma się, jak cela pustelnika do karczmy londyńskiej z pijatyką i szaloną zabawą. Różnice sytuacyi są tak wielkie, że typy te nie mogą być do siebie podobne. Pole działania Ślaza za małe! Wspólność cech jego charakteru z Falstaffem jest chyba ta, że nauczył się od angielskiego typu tej loiki nikczemności ludzkiej, która rozumowaniem chce upozorować prawo występku, tchórzostwa i lenistwa.

Wystarczy porównać które bądź dwa ustępy z przemówień Ślaza i Falstaffa, aby się o tem przekonać. Ślaz n. p. mówi na pobojowisku (Akt II scena I):

Dalibóg! trupów tu jak maku! Głupcy!
Gdyby się spytał kto tych wszystkich durniów,
Dlaczego teraz się nie mogą ruszyć?
Jeden odpowie: brak mi kawałeczek
Serca — a drugi: mam strzałkę maleńką
W mym pacierzowym ogonie; i każdy
Miałby wymówkę — ze mną tak nie będzie!
Nie, ja do śmierci chcę żyć, a po śmierci
Będzie jak Bóg chce i jak chce Pan Gwalbert.

Falstaff zaś w podobnej sytuacyi (w Henryku VI akt V, scena I) tak się wyraża na wezwanie, aby „śmiercią spłacił dług Bogu“:

„Jeszcze nie termin, a przed terminem nie „radbym uskutecznić tej wypłaty. Czego się „mam spieszyć, kiedy się wierzyciel nie upo„mina. Ale prawda: honor jest mi bodźcem „do tego. Ba! a jeżeli honor na śmierć mnie „zabodzie, cóż wtedy? Potrafiż mi honor nogę „przyprawić? Nie zaiste. Albo ramię? Nie „zaiste. Albo uśmierzyć ból rany? I to nie. „Honor więc nie zna się na chirurgii? Nie „zaiste. Czemże jest honor? Wyrazem. Czemże „jest ten wyraz: honor? Wiatrem, parą ust. „Któż go posiada? Ten, co go wczoraj pogrzebiono“.

Przechwałka obok tchórzostwa, nikczemne samolubstwo, żyjące kosztem innych i nie wzdrygające się przed żadną zbrodnią — jeśli do niej nie potrzeba tylko zbyt wielkiego wytężenia woli — oto główne czynniki tego charakteru. Już starożytni poeci stworzyli zaczątki tego typu. „Miles gloriosus“ Plauta a nawet Tersyt Homera pokrewni są nieco Ślazowi.

Drugą postacią, która najwięcej przypomina Szekspirowski charakter — jest Gwinona. Jako żona, dręcząca męża, sekutnica na tronie nie byłaby niczem nowem. Od Ksantyppy aż do pani Kaudel humorysty Jerrolda, odgrażającej się mężowi, że umrze, że dzieci osieroci, że będzie się tedy mógł ożenić z tą i ową, że życie uśmiechać mu się będzie i t. d. — wszystkie złośliwe żony stanowiły jednolity typ w poezyi i malowaniu charakterów.

Jednak mimo to zapożyczył Słowacki kilka rysów u Szekspira — zwłaszcza z Małgorzaty „Króla Henryka VI“.

Gwinona łamie wiarę mężowi. U Słowackiego dzieje się to przed poczęciem dramatu, u Szekspira zaś żona Henryka VI kocha się w hrabi Suffolk na scenie. Przed oczyma widza rozwiązuje tragedya miłosna.

Małgorzata zarówno, jak Gwinona mają dzikie instynkta. Gwinona dręczy Derwida a kiedy Lech jej w tem chce przeszkodzić, wybucha namiętnemi słowy:

„O dzień przeklęty, kiedym ja się dała
Uwieść przez ciebie z Islandzkiego brzegu,
Abym tu była teraz niewolnicą
Twojego gniewu i niestałej żądzy!
Lepiej mi było morze rozhukane
Poślubić, albo wulkan płomienisty,
Lub zostać Niksów, albo Farfadetów
Małżonką, lepiej o lepiej sto razy,
Niż teraz za mym ubogim rycerzem
Przez świat wędrować i znosić obelgi
I nie być pewną dnia, że mąż mię kocha!

Małgorzata zaś stawszy się winną śmierci Glostera taką samą loiką pokonać chce swojego męża:

Potoż mi w drodze grozi to rozbicie,
Wiatr mię dwa razy od brzegów tych uniósł,
Pędził powrotem do ojczystych brzegów?
Pojmuję teraz: wiatr ten miłosierny
Zdał mi się mówić: „Strzeż się tamtej ziemi!
W gnieździe niedźwiadka nogi twej nie stawiaj.
A ja litosne przeklinałam wiatry
I tego, co je z ciemnych wysłał jaskiń:
„Wiejcie“ wołałam „ku angielskim brzegom
„Lub rzućcie nawę na podwodne skały!“
Lecz nie chciał Eol moim być mordercą
Tobie to smutne zostawił rzemiosło.

Gwinona zarówno, jak Małgorzata grozi

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

11) EMILA ZOLĘ.

Na ulicy Maurycy postarał się o dzienniki. Wyładował sobie kieszenie wszystkiemi numerami, jakie tylko mógł znaleźć i czytał je, idąc pod wielkiemi drzewami wspaniałych alei, otaczających miasto. Gdzież więc są te armie niemieckie?... Zdawało się, jak gdyby wszystkie gdzieś zginęły. Dwie z nich muszą być w stronie Metzu: pierwsza pod dowództwem generała Steinmetz, zapewne obserwuje twierdzę, druga ta, którą dowodzi książę Fryderyk Karol, stara się podążyć brzegami Moselli w górę rzeki, a to celem przecięcia Bazainowi odwrotu na Paryż. Ale trzecia armia — ta, która zostaje pod wodzą księcia następcy tronu pruskiego, ta armia zwycięzka z pod Wissenburga i Fröschwiller, która ścigała 1 korpus i 5, gdzie ona rzeczywiście znajdować się może w obec tego zamętu informacyi, tak zupełnie sprzecznych ze sobą? Czy stoi jeszcze obozem pod Nancy?... A może zbierze się pod Chalons, jeżeli opuszczono tak pospiesznie tamten obóz, paląc za sobą magazyny, furaż, żywność i zapasy wszelkiego rodzaju?... sprzeczności, przypuszczenia najdziwaczniejsze zaczynały się na nowo co do planów, jakie różnym generałom przypisywano.

Maurycy zagłębił się w czytaniu tak, że o całym świecie zapomniał i teraz dopiero dowiedział się o tem, co się działo w Paryżu, o strasznem wstrząśnieniu, jakiego, jakby od uderzenia gromu, doznał na wieść o klęsce naród cały, tak pewny zwycięstwa. Rozruchy na ulicach, zwołanie izb, upadek ministeryum liberalnego, którego dziełem był plebiscyt, cesarz pozbawiony tytułu naczelnego wodza i zmuszony odstąpić naczelnego dowództwa marszałkowi Bazaine. Od 16 sierpnia Napoleon znajdował się w obozie pod Chalons, a wszystkie dzienniki były przepełnione doniesieniami o wielkiej radzie, odbytej dnia 17, na której był obecny książe Napoleon i generałowie, ale nie byli oni zgodni między sobą co do powziętych decyzyj, z wyjątkiem faktów, które z nich wynikły, jakoto: generał Trochu mianowany naczelnym wodzem obrony Paryża, marszałek Mac-Mahon głównodowodzącym armią, pod Chalons zebraną, co już samo wykazywało zupełne usunięcie cesarza od władzy.

Czuć w tem wszystkiem było zamieszanie, brak zupełny stanowczości, plany sobie przeciwne i ścierające się ze sobą, ze zmiennemi co godzinę szansami zwycięstwa jednego nad drugim. A nad wszystkiem górowało jedno i to samo pytanie: więc gdzież się podziewają te armie niemieckie?... Któż ma racyę, czy ci co twierdzą, że Bazaine jest wolny i że właśnie dokonywa zwrotu przez twierdze północne na Paryż; czy ci, którzy dowodzą, że już jest w Metzu zamknięty i blokowany?... Ciągle obiegały wieści o olbrzymich bitwach, o walkach bohaterskich, odbytych pomiędzy 14 a 20 sierpnia, w ciągu całego tygodnia i ze wszystkich tych wieści i pogłosek pewnego nie było nic więcej, jak tylko straszny huk strzałów, gdzieś tam w oddali głuchy i niknący.

Nareszcie Maurycy znużony już tak, że się nogi pod nim chwiały, usiadł sobie na ławce. Zdawało się, że miasto dokoła niego żyje swem życiem zwyczajnem. Niańki i bony, pod rozłożystemi drzewami pilnowały dzieci, a drobni kapitaliści wolnym krokiem odbywali zwykłą swą codzienną przechadzkę. On, siedząc już, wziął się na nowo do przeglądania swoich dzienników i wpadł na artykuł,

mężowi śmiercią, Gwinona wyrzuca Lechowi jego sympatye dla Derwida:

Jak mnie nie będzie, każesz z moich włosów
Porobić struny do twej harfy złotej
I starzec ci ten będzie o mej śmierci
Grał! albo wicher Islandzki przyleci
Z ojczystej mojej ziemi i na strunach
Położy usta przekleństwem wyjące.

Tak samo Małgorzata wyrzuca królowi jego sympatye dla Glostera:

Biada mnie nieszczęśliwej!
Czemu twarz kryjesz, czemu się odwracasz?
Spojrz na mnie, twarzy mej trąd nie osypał
Głuchyś, jak żmija, bądźże i zjadliwy!
Zabij twem żądłem biedną twą królowę!
Twa radość w grobie Glostera zamknięta!
Więc nigdy twoją nie byłam pociechą?
Wystaw mu posąg i bij mu pokłony
A na szyld wywieś obraz mój przed karczmą.

Gwinona mści się na Wenedach za śmierć kochanka Salmona. W ten tylko sposób uczłowieczył poeta tę piekielną postać. Kocha ona Salmona i swoje dzieci — mężem gardzi a wobec wrogów jest zwierzęciem drapieżnem, obdarzonem ludzkim rozumem, który umie ofiarom przysparzać cierpień. Kiedy dzieciom swoim każe kamykami rzucać na wiszącego na drzewie króla Derwida i strzelać nań z łuku, zachęca Kraka, niechcącego zabić bezbronnego starca, temi słowy:

— „ten stary
Zabił Salmona! Salmon już nie wróci!“

a kiedy Ślaz w zbroi Salmona się zjawia, Gwinona przeraża się na chwilę własnych swoich postępków:

Co słyszę, Salmon zatrąbił, o Boże!
Gdy ja tortury straszne wymyślałam
Aby się pomścić za niego, on żyje;
. . . .
Zaczęłam się mścić za niego, on wraca
Zemsta bez celu jest i bez przyczyny
A już jest rzeczą zaczętą.

Podobnie Małgorzata okropnie mści się na Jorku za śmierć Suffolka. Pierwsza scena, pełna okropności między Gwinoną a Derwidem, wielkie ma podobieństwo w szczegółach do sceny, gdzie Małgorzata Jorkowi podaje chustkę, zbroczoną krwią jego syna Rutlanda. Derwid odzywa się do Gwinony:

Stój tu! ja ci łono
Osuszę, piersi napełnię popiołem
W żywot nasypię gadzin, o gdybyś ty
Była kobietą, gorzej niż to wszystko,
Bobym ci oczy twe napełnił łzami,
Opowiadając ci moje nieszczęście.

Jork zaś do Małgorzaty odzywa się:

Gdyby twarz twoja nie była jak maska
Na wstyd nieczuła przez bezwstydne życie,
Możebym na nią wywołał rumieniec.
Często urodą pysznią się kobiety,
Ale Bóg świadkiem, nie masz jej do zbytku.

Na tem wyczerpują się analogie między ustępami z Szekspira i Lilllą Wenedą. Może być, że typ Derwida zdetronizowanego króla zrodził się u poety z reminiscencyi z „Króla Ryszarda II“ ale nie dostrzegłem żadnego bliższego podobieństwa między Ryszardem, który los swój sam sobie zgotował a potem go przenieść nie może a tym spokojnym, godności pełnym starcem, który czuje się tylko uosobieniem swojego ludu i zabija się na ruinach swojego tronu. Nieszczęścia ojczyzny nie przytłumiły w nim jednak przywiązania do rodziny. Dzieci swoje kocha on miłością bez granic a tem większy jest jego heroizm, z jakim zgadza się na oddanie Lilli Wenedy za harfę.

Lech silniejszej charakterystyki nie potrzebował. Rysy jego wyczerpane są w pierwszych scenach, ku końcowi sztuki powtarza się. Uległy mąż, dostępny uczuciom tkliwszym a żelazny w boju rycerz, „brat Rolanda a praszczur Sobieskiego“ jak mówi o nim poeta. Żądza boju i zwycięstw zdolna w nim chwilowo zagłuszyć nawet uczucia rodzinne, cechujące tak dobitnie jego charakter. Poeta na tę wojowniczość Lecha, odróżniającą go od Derwida, położył nacisk szczególny. Kiedy goniec przynosi mu wiadomość o pojmaniu syna Lechona przez Wenedów, Lech ani rozpacza, ani nawet smutną wieścią nie daje się odwieść od robienia prób z męstwem swego rycerza Salmona. Łatwo było poecie wiadomość tę o pojmaniu Lechona wsunąć na sam koniec aktu po wypróbowaniu już odwagi fałszywego Salmona. Ale chodziło mu o odmalowanie tej właśnie strony wojowniczej charakteru Lecha, wobec której wszystko na plan drugi schodzi. (Dok. n.)

POGRZEBY.

Szkic

przez **Zygmunta Niedźwieckiego.**

Ślepy koń wlókł to stare, rozbite wozisko, wyschły chłop, z wolem na podgardlu, wywijał posztukowanym ze strzępków batem nad wytartą i pokaleczoną skórą szkapy, do żebraczych łachmanów podobną — a w głębi, obok trumny z chropawych tarcic, wrytej w posłanie ze słomy, którą gdzieś z podściółki w oborze zapewne wysmyknięto, siedziało bokiem na drabince, trzymając się oburącz zadzierzystych drążków i półkoszka, dwóch ludzi licho odzianych: szewc Kładka i Maliński lakiernik, serdeczni przyjaciele zmarłego Zawiasa. Nieboszczyk był szewcem wiejskim w Piaskach.

Trzęsło się to wszystko jak biedak w dzień mrozu po wybojach bocznej drożyny wiejskiej, skradającej się środkiem wyrw gliniastych i dzikich krzów wiklu ku głównej, bitej drodze, pod cmentarz z miasta biegnącej rozłożyście i równo. Trząsł się wóz, dziadzisko na nim, trzęsła się trumna i trzęśli obaj jadący tak silnie, że całe ciało drgało im po przez suknie, drgały wychudłe policzki w takt turkotu i kiwały się postacie, kurczowo ściśniętemi rękoma drabinek uczepione, za każdem uderzeniem kół o kamień lub dziurę w drodze. Ale dziad, poszarpując lejcem, śmigał batem raz po raz i spieszył. Za trzy szóstaki trudno jechać noga za nogą, choć i z umarłym.

Na skręcie w główną ulicę, skąd już do wrót cmentarnych sto kroków najwięcej, pofolgował wszelako szkapie, jakby droga porządna mniej uczyniła lichego woźnicę i zaprzęg lichy śmiałym, właściwie zaś dlatego,

---

który poprzednio uszedł jego uwagi, artykuł jednego z gorących dzienników opozycyi republikańskiej. W jednej chwili wszystko mu się rozjaśniło. Artykuł ten twierdził stanowczo, że na radzie d. 16, odbytej w obozie pod Chalons, odwrót na Paryż został ostatecznie zdecydowany i że nominacya generała Trochu jest tylko przygotowaniem do powrotu cesarza do stolicy. Dziennik jednak dodawał, że postanowienia te spotkały się z niezłomnem, a wprost przeciwnem zdaniem cesarzowej-regentki i nowego ministeryum. Wedle przekonania Eugenii rewolucya jest nieunikniona, jeżeli się cesarz w Paryżu ukaże!... Przypisywano jej wyrazy: „nie dojdzie żywym do Tuilerjów!“ To też ona z całym uporem swej woli żądała marszu naprzód, połączenia pomimo wszystko z armią Metzu. Popierał ją w tych żądaniach generał Palikao, minister wojny, którego plan obejmował marsz forsowny, piorunujący i zwycięzki dla podania ręki Bazainowi. I opuściwszy dziennik na kolana, zapatrzywszy się w dal przed siebie, Maurycy sądził, że wszystko rozumie: dwa plany wprost przeciwne, wahanie się marszałka Mac Mahona, w obec istotnego niebezpieczeństwa takiego marszu skrzydłowego, szczególniej z wojskami, tak mało solidarności przedstawiającemi, i — rozkazy naglące, popychające go do szalonego zuchwalstwa, jakiego do takiej wściekłej awantury było potrzeba. Potem, wśród tej tragicznej walki pojęć, Maurycy w umyśle swoim zobaczył wyraźnie Napoleona, pozbawionego swej władzy cesarskiej, którą złożył w ręce cesarzowej-regentki, odartego z naczelnego dowództwa, które dopiero co właśnie powierzył marszałkowi Bazaine, Napoleona, nie będącego już zupełnie niczem, cieniem cesarza, niezdecydowanym i niewyraźnym, bezużytecznością bez nazwy, przeszkodą, z którą nie ma co zrobić i której się pozbyć nie można, zawadą, którą Paryż odtrąca i która w armii też niema racyi bytu od chwili, gdy złamany zobowiązał się nie wydawać wcale żadnych rozkazów.

Jednakże, nazajutrz rano, po nocy burzliwej, przespanej nie pod namiotem, ale porządnie, pod kołdrą, ulgą niejako było dla Maurycego, gdy się dowiedział, że ostatecznie odwrót na Paryż nad innemi planami odniósł zwycięstwo. Mówiono znowu o nowej radzie, odbytej dnia poprzedniego, na której był obecny były wice-cesarz Rouher, wysłany przez cesarzową, dla osobistego przyspieszenia marszu na Verdun, którego marszałek przekonał o niebezpieczeństwie podobnego kroku. Czy może otrzymano niepomyślne wiadomości od Bazaina?... Nikt tego twierdzić nie śmiał, ale brak wszelkich nowin był znaczący i wszyscy cokolwiek rozsądniejsi oficerowie oświadczali się za oczekiwaniem pod Paryżem, którego w ten sposób armię pomocniczą i obronną stanowić wypadnie. I przekonany, że zaraz od jutra to cofanie się ku stolicy rozpocznie się, gdyż, jak mówiono, rozkazy już wydane zostały, Maurycy, uszczęśliwiony, chciał zadowolić jedno dziecinne pragnienie, które go trapiło, to jest uniknąć raz jeszcze żołnierskiej miski i zjeść śniadanie gdziekolwiek na obrusie, mieć przed sobą butelkę z winem, karafkę, talerz biały, wszystkie te rzeczy, których był pozbawiony już tak dawno, tak dawno, że mu się zdawało, iż ich nie miał przez lata całe. Miał pieniądze, z bijącem sercem puścił się więc na ulicę, szukając oberży, jak gdyby szedł na jaką awanturkę miłosną.

Dopiero po drugiej stronie kanału, u wejścia do wsi Courcelles znalazł wymarzone w swej duszy śniadanie.

Dnia poprzedniego powiedziano mu, że cesarz stanął w jednym z mieszczańskich pałacyków tej wioski i zaszedł sobie tu przez ciekawość. Przypomniał sobie, że kiedyś tu w tej stronie, u zbiegu dwóch spotykających się dróg, widział jakiś szynczek z altankami,

że widać było zdala nadciągający od miasta pański kondukt żałobny i że dziady z pod wrót cmentarza rękoma zaczęły wywijać, a jeden, przez szczęki bezzębne, słabym, dawno na pacierze wyszeptanym głosikiem, wykrzyknął w ich stronę:

— Stójcie tam! hej! stójcie!...

Więc przystanęli.

Z pod bram cmentarza dziady i dziadówki, co do jednego zwróciły oczy na wolno, długim pochodem kroczący pogrzeb. Tu, z wozu, stanowiącego cały kondukt biedaka, spojrzano też w tamtym kierunku: i furman, z pod dłoni, którą przysłonił oczy przeciw słońcu, i szewiec z pod daszka swej czapki, i lakiernik z pod kapelusza smutno zwieszającego brzegi spłowiałe, strzępiaste; jedna tylko szkapa, ślepa na widok wszystkiego co ziemskie, spuściła łeb ku ziemi, znużona, i przymróżywszy sennie osowiałe swe, bielmem zakryte oczy, to potrząsaniem skóry, to zamachami wyłysiałego ogona spędzała muchy i bąki z swoich chudych, kościstych boków.

Stali tak zdala, pod niebem jasnem, białemi chmurkami na gładkiem tle błękitu ubranem, i czekali wraz z trumną, aż wspaniały korowód mimo nich przeciągnie. Czekali skromnie i cierpliwie. Kazały tak dziady, kazał sam widok zbliżającej się pompy, kazało im poczucie własnej niższości, które zmuszą ubogo odzianego zstępować z drogi bogatym sukniom, z podziwem patrzeć na postać nadętą i nos w górę zadarty, ze drżeniem chylić czapkę przed podniesionym dźwiękiem głosu.

Pogrzeb był wspaniały.

Pół setki księży w komżach, każdy z płonącą świecą, cały hufiec sierót zakonnych z świecami, dziadów płci męskiej, łysych, brodatych, też z świecą w ręku, dwa sznury, za niemi w czepcach dziady płci żeńskiej, świeca u każdej. Potem drab z pałką, w czerń odziany, za nim szóstka karoszów, potrząsających łbami, ustrojonemi w kity, karawan srebrzysty, jak ołtarz, a w nim trumna z metalu, złocona, przepyszna, prawie ukryta w gęstwinie wieńców, od których spływające szarfy jedwabne obwolują złotemi gloskami uczucia przyjaciół i wielbicieli, jakich zmarły zostawił, oraz liczbę cnót jego. A za tem tłum, ogromny tłum „państwa“ w żałobnych, ciemnych strojach, starcy, kobiety, młodzież, nakoniec dwadzieścia karet, toczących się naostatku wolno, smutno, uroczyście...

Kładka z Malińskim patrzą, podziwu pełni, z powodu niewoli dni roboczych niewiele w życiu pogrzebów widziawszy. Otóż to się nazywa być grzebanym po ludzku, dla takiego pogrzebu to i umrzeć warto. To się dopiero nazywa zostawić po sobie żałobę, łzy, smutek, sieroctwo... Tyle księży! tyle ludzi! tyle koni! świec tyle!... O takim nieboszczyku ktoś wie przynajmniej, że umarł... Taki się też na pewne do nieba dostanie... A jak mu śpiewają, jak mu serdecznie kulawy dziad u furty przydzwania!...

Zapatrzyli się trzej biedacy z wozu z uszanowaniem na orszak, który powoli wkraczał w bramę cmentarza, a potem na trumnę, porwaną w tej chwili na barki przez kilku panów, niesioną jak coś niepospolitego, czcigodnego, aż znikła, a za nią tłum.

— Piekny pochowek — stęknął ochrypłem ze starości gardłem woźnica.

— Cóż mu z niego, wolałby żyć — głębiej zauważył lakiernik. Szewc zaś, najgłębszy z trójki, zakończył wzdychając:

— Każdemu jeden koniec. Takie to życie ludzkie.

Szkapa kopała się kopytem w brzuch, to lewem, to prawem i oganiała resztką ogona. Wtem zaświszczało:

— Wijoo!...— chłop lejcem strzepnął i konisko, podawszy się naprzód, wytężywszy ścięgna, napiąwszy postronki, ruszyło z miejsca, wóz wprawiając w trzeszczenie.

Podjechali pod bramę, nieśmiało, z boku. Lakiernik z szewcem, zeskoczywszy zaraz, otrzepywali odzież ze słomy, chłop zaś okręcał lejc około luszni.

Nikogo nie było przy furcie. Grabarze pobiegli na złamanie karku naprzód, ku mogile, a żebraków pociągnął za sobą orszak, miano bowiem rozdzielać jałmużnę. Czekali tedy, lecz chłopek skrobał się w głowę, żałując czasu.

Po chwili ukazał się zarządca cmentarza z domu obok furty i podniósłszy głowę, z góry spojrzał na przybyłych. Wtedy Maliński i Kładka podbiegli ku niemu, z ukłonem meldując nieboszczyka.

— A pokładne? — przerwał im.

Spojrzeli po sobie.

— Cóż to? Udajecie, czy co? Należy się pokładne, za grób.

Nie wiedzieli nic o tem. Chowali zmarłego pierwszy raz w życiu.

Nie śmieli zapytać o wysokość opłaty, ale konieczność dodaje odwagi.

— Reński dwadzieścia centów.

Malińskiemu wyrwało się:

— O la Boga!

I znów spojrzeli na siebie. Lakiernik włożył rękę w kieszeń od spodni, szewc szuka w kamizelce. Szepczą do siebie zmięszani, nie przestając rękoma dłubać a zarządca tymczasem spogląda w głąb cmentarza, pomiędzy ten las krzyżów, nagrobków, krzyżyków, stłoczonych w ciasnem zamknięciu cmentarnego muru, znaków męki i zgonu.

— No?... — zapytuje nagle przybyłych.

(Dok. nast.).

„CZŁOWIEK-ZWIERZĘ“

przez Jerzego Brandesa.

I.

Uderzające to zjawisko, w jak wysokim stopniu beletrystyka ostatniej doby u najwybitniejszych jej przedstawicieli europejskich zajmuje się ujęciem i przedstawieniem dwoistości naszej istoty.

U jednego tylko francuskiego pisarza: Pawła Bourgeta, znajdujemy ten rozdział jaźni ludzkiej naukowo uzasadnionym. Bourget jest bowiem i jako poeta psychologicznym kryty-

---

otoczonemi winną łozą, krzewami bujnemi, na których wisiały grona winne, już złocące się i dojrzałe. Pod pnącemi się winami, stały stoły malowane na zielono, a w obszernej kuchni, przez drzwi szeroko otwarte, widać było głośno cykający zegar, obrazki Epinalu, ponaklejane pomiędzy fajansami i olbrzymią oberżystkę rożen obracającą. Po za nią w głębi ogień ze szczap drzewa buchał szeroko, rozłożony na wielkim kominie. Było to ładne, wesołe i takie gospodarskie, serdeczne, mające wszystkie zalety starodawnej francuskiej gospody.

Ładna i rosła dziewczyna o piersi wypukłej, przystąpiła do niego z uśmiechem, w którym piękne białe ząbki pokazała — i zapytała go:

— Czy pan będzie jadł śniadanie?...

— Naturalnie!... Śniadanie!... Proszę mi dać jajek na miękko, masła, kotlet, sera!... I wina białego butelkę!...

Gdy odchodziła zatrzymał ją jeszcze pytaniem.

— Powiedz no mi panienko, czy to w jednym z tych domów zamieszkał cesarz?...

— Widzi pan tam!... Oto w tym domku, co tu stoi wprost!... Pałacyku pan nie widzi, bo go zasłania ten wysoki mur, z za którego wyglądają te duże drzewa zielone.

Zasiadł sobie w altance, odpiął pas, aby mu było wygodniej, wybrał sobie stolik, na który słońce, przedzierając się przez cień łodyg i wąsów wina, rzucało szerokie plamy złote. Wzrokiem wracał ciągle do tego wielkiego muru, po za którym był cesarz. Był to istotnie domek ukryty, tajemniczy, którego nawet dachów z zewnątrz nie było widać. Wejście główne było z drugiej strony od ulicy wąskiej, przy której nie było ani jednego sklepu, na którą okna wcale nie wychodziły i która się wiła między wysokiemi murami ponuremi, brakiem wszelkiego ożywienia. Dalej, park jakiś niewielki, stanowił jakby oazę zieleni pośród kilku budowli sąsiednich. Tu zauważył po drugiej stronie drogi, coś niby obóz, zawalający szeroki dziedziniec pomiędzy wozowniami i stajniami. Było to wielkie mnóstwo powozów i furgonów, w pośród których kręcili się tu i owdzie ludzie i konie.

— Czy to wszystko cesarskie... to?... — zapytał żartem służącej, która rozkładała na stole obrus śnieżnej białości.

— Tak panie!... to wszystko dla samego cesarza! — odparła z uśmiechem szczerej wesołości i zadowolenia z siebie, kontenta, że ząbki wyszczerzyć może.

I objaśniona zapewne dokładnie przez masztalerza, który od wczoraj pić tu przychodził, zaczęła wyliczać: sztab, złożony z dwudziestu pięciu oficerów, sześćdziesięciu stu gwardzistów, pluton gidów z eskorty palacowej, sześciu żandarmów eskorty od miasta. Dalej dwór, złożony z sześćdziesięciu osób, szambelanów, lokai pokojowych, powozowych, stołowych, kucharzy, kuchcików. Przytem cztery konie wierzchowe i dwa do powozu cesarza, dziesięć koni dla koniuszych, ośm dla pikierów i groomów, nie licząc czterdziestu siedmiu koni pocztowych. Oprócz tego wielki brek, dwanaście furgonów z bagażami, z których dwa, wyłącznie kucharskie, wzbudziły jej podziw ilością rondli, brytwan, talerzy i butelek, jakie widać było upakowane w największym porządku.

— O! żeby to pan widział!... Nie można mieć wyobrażenia o takich rondlach!... To błyszczy jak słońce samo!... I tyle różnego rodzaju półmisków, waz, maszyn, które służą... już ja sama nie wiem do czego!... A piwnica podróżna!... Co za wina: bordo, burgund, szampan!... Tyle, coby wystarczyło na ucztę dla całej wsi!...

W uciesze z białego jak śnieg obrusa, z wina białego, które mu przed oczyma promienie światła tęczowo łamało, Maurycy zjadł dwa jajka na miękko z łakomstwem i sma-

kiem, jakim jedynie był początkowo. Przy objaśnianiu żywiołu uczuciowego i popędowego u osób, występujących w jego utworach, nie powoduje się on wyłącznie artystycznem poczuciem; ma on zawsze w swym ręku sondę badacza.

Rozejrzawszy się w jego dotychczasowej twórczości poetyckiej, począwszy od pierwszej nowelli: „L'irreparable", a skończywszy na jego przedostatniej powieści: „Le disciple", spostrzegamy pewne wspólne, istotne znamiona. Wszystko obraca się tu w gruncie rzeczy koło dwoistego charakteru naszej jaźni. Ową pierwszą nowellę wypełniają dzieje młodej, oryginalnej dziewczyny, której moralny upadek, dokonany za sprawą człowieka podłego, względem którego w niewinną zapuściła się kokieteryę, stanowi krytyczny wypadek jej życia. Opowieść rozpoczyna się — bardzo to charakterystyczne — dyalogiem pomiędzy samym autorem a profesorem psychologii, autorem dzieła, traktującego o rozdziale i rozprzężeniu kojarzących się wyobrażeń. Skoro bowiem to, co my naszem „ja" nazywamy, jest wyobrażeniem czegoś wewnętrznego i ciągle trwałego, co z naszem ciałem w bezpośrednim jest związku, jest wyobrażeniem, powstałem na podstawie kojarzenia się wyobrażeń, to rzeczą jest jasną, że zgłębiany i roztrząsany przez profesora psychologii problemat dotyczy form rozdziału naszego „ja" z jego dwoistego charakteru, które to objawy w rozlicznych chorobach umysłu i woli występują. W ostatnio wspomnianej powieści Bourgeta spotykamy się znów z profesorem psychologii, znajdujemy ten sam temat. Praca, którą młody, o morderstwo obwiniony, zbrodniarz: Robert Greslou przesyła słynnemu profesorowi do oceny, jest studyum nad istotą dwoistości naszego „ja".

W nowelli znajdujemy wyjaśnienie, na czem najprostsze objawy dwoistości naszego „ja" polegają. Nasze „ja" jest częścią świadome, częścią nieświadome. Tem tłómaczą się w ogólności błędy i uchybienia nasze w życiu. W wnętrzu naszego „ja" ukrywa się jakieś stworzenie, którego nie znamy, o którem nigdy nie wiemy, czy nie jest ono właśnie przeciwieństwem istoty, którą zdajemy się sobie być. Na tem polegają owe szczególne, nagłe zboczenia, których sami na sobie doświadczamy lub spotykamy u drugich. Ktoś n. p. pracuje w pewnym wytkniętym celu, od którego swe szczęście czynił zależnem, lecz gdy go już dopiął, wpada na odkrycie, że najtajniejsze i najprawdziwsze duszy swej pragnienia zupełnie zapoznał. Inny znów wygląda, jak drudzy i działa również, jak drudzy. W tem okazuje się jego oczom obraz jego własnej niedoli, wiecznej troski, ustawicznego niebezpieczeństwa, o którem zapomnieć usiłował, które go jednak nagle opanowuje i życiu jego odmienny zupełnie nadać może kierunek.

W powieści sam bohater podaje analizę swojego „ja", występujący w niej bowiem młody człowiek każdy swój stan umysłu sprowadza do pewnej naukowej kategoryi: dziedziczności, wpływu otoczenia i t. p. Za dominującą cechę swego umysłu uważa dar, czy popęd do dwoistości. Panują w nim niejako dwie, zasadniczo się wyróżniające osoby: jedna, która przychodzi i odchodzi, działa i czuje; druga, która, jakby widz, innych sposób życia obserwuje. Nie jest on w stanie dojść do świadomości, która z tych dwóch osób jego własną stanowi istotę. Usiluje on tę swoją skłonność do dwoistości wyprowadzić z krzyżowania się ras, z pochodzenia od jakiegoś sąsiedzkiego narodu. Już od ówczesnego dzieciństwa doznawał przyjemności w obłudzie i okłamywaniu, kłamał zaś nie z pyszałkostwa, lecz jedynie po to, by w własnej fantazyi i opinii swojego otoczenia uchodzić za innego, niż jakim był rzeczywiście. Sprawiało mu to największą satysfakcyę wypowiadać zdania, które były biegunowo przeciwne hołdowanym przez się zasadom, a mianowicie z tego samego szczególnego powodu. Obok swej własnej natury, chciał on dać wyraz jakiejś drugiej fikcyjnej. Owa fałszywa i kłamliwa pozycya w jego całem wystąpieniu, jego dziwne usposobienie, znajdujące przyjemność w oszukiwaniu i uwodzeniu, ba nawet w podejściu uczciwej i szlachetnej kobiety, do której żadnej nie uczuwał skłonności, wszystko to skutki tego niepokonalnego rozdwojenia i rozdziału całej jego duchowej istności.

Jak widzimy, pojęcie dwoistości, które zajmuje naukowo wykształconego Bourgeta, jest tego rodzaju, że może ono być zrozumianem tylko na drodze filozoficznych i psychologicznych badań. Odpowiada ono poniekąd dualizmowi naszej istoty, który za dawnych czasów upatrywano w stosunku „ciała" do „duszy", całkowicie jednak z tym poglądem się nie schodzi. O tyle tylko, zdaje się, Bourget w minionych czasach zaczerpnął natchnienia, o ile w swoich ostatnich utworach, jako jedyny środek przeciwko owemu rozszczepianiu się duszy zdaje się apoteozować — nabożność.

II.

Inni wybitni pisarze współcześni, którzy również zajmują się przedstawieniem dwoistości naszej jaźni, dali temu dualizmowi wyraz, poniekąd przypominający średniowieczczyznę. Mówią oni o bestyi w człowieku i o człowieku w człowieku, jako o dwóch odrębnych światach, zlewających się w naszej świadomości. Zdają się oni pod tym względem być podobni do teologów, rozprawiających o stosunku boskiej i człowieczej natury w Bogu-człowieku. Dla wielu współczesnych poetów stała się istota ludzka rodzajem centaura, na poły zwierzęciem, na poły istotą wyższą, którą tentent własnych kopyt wyzuwa czasem z błogiego snu, przenoszącego ją w krainę górnolotnych ideałów.

Ci, którzy się tak zagłębiają nad stosunkiem pierwiastku zwierzęcego do człowieczego u człowieka, pragną albo przedstawić ten pierwszy w całej jego ohydnej i ponurej grozie, albo też starają się go zwalczyć, a czasem nawet wytępić, pomimo, że sami nie umieją naznaczyć granicy, gdzie zwierzęcość ustaje, a gdzie się człowieczość poczyna. Wszak człowiek ma tyle funkcyj i znamion wspólnych z niższemi istotami!

Najbardziej jednak zastanawiać musi kardynalna niezgodność najwybitniejszych poetów współczesnej doby odnośnie do kwestyi, czy

---

koszostwem, jakiego w sobie nigdy jeszcze nie zauważył. Na lewo, gdy się obejrzał, miał widok przez jedne z drzwi altanki na szeroką płaszczyznę, zasianą białemi namiotami i tworzącą jakby nowo wznoszące się miasto, świeżo wyrosłe wśród rżysk, pomiędzy kanałem i miastem Reims.

Zaledwie kilka marnych kępek drzew plamiło zielenią szarość, rozlegającą się szeroko. Trzy wiatraki wznosiły do góry chude swe ramiona. Ale powyżej, po nad powiązanemi ze sobą dachami domów miasta Reims, których kontury zniknęły w kurzu i kryły się pod wierzchołkami drzew kasztanowych, olbrzymi kadłub katedry odrzynał się czysto na błękicie powietrza, kolos pomimo odległości, obok tych domków, w obec niego niskich i płaskich. Wracały mu na pamięć wspomnienia ławy szkolnej, lekcye wyuczone, wykute z elementarnych podręczników: koronacya królów Francyi, święte naczynia kościelne, Klodwig, Joanna d'Arc... cała stara chwała Francyi...

Potem, gdy zagłębiony cały znowu w myśli o cesarzu, zamkniętym w tym małym domku mieszczańskim tak dyskretnie, między drzewa i mury schowanym, Maurycy podniósł oczy na ów wielki mur żółty i ze zdziwieniem spostrzegł, olbrzymiemi literami nakreślony węglem napis: „niech żyje Napoleon!" tuż obok brudnych i nieprzyzwoitych rysunków i mazanin. Jakaż dziwna rzecz, na tym murze, ten okrzyk dawnego zapału wojennego, wyryty zapewne na cześć wuja — zdobywcy, bez myśli o siostrzeńcu!... Już od razu całe jego dziecięctwo odzywało się, dźwięczało we wspomnieniach tych chwil, kiedy tam w Chene Populeux, od kolebki słuchał opowiadań swojego dziadka, jednego z bohaterów wielkiej armii!...

Matka umarła, ojciec zmuszony był przyjąć obowiązek poborcy w tem wielkiem bankructwie, które dotknęło synów wojowników po upadku cesarstwa — i stary dziadek mieszkał sobie tam i żył z marnej pensyjki, zapadłszy w taką biurokracyjną biedę, nie mając innej pociechy, jak opowiadać swoje kampanie wnuczętom swoim, bliźniętom, chłopcu i dziewczynie, obojgu o jednakowych jasnoblond włoskach. Wnucząt tych swoich on był po części matką. Sadzał sobie Henrykę na lewem kolanie, Maurycego na prawem, i tak godzinami całemi trwały homeryczne opisy bitew i batalij!...

Wieki i daty w głowie mu się mieszały, zdawało się, jakby się to wszystko stało po za historyą rzeczywistą, w jakiemś starciu strasznem wszystkich narodów. Anglicy, austryacy, prusacy, hiszpanie, włosi przesuwali się w tych opowiadaniach po kolei i razem, jak tam zrządził los, aliansów nieświadomy, i często trudno było rozpoznać, dlaczego zostali pobici ci mianowicie, a nie owi. To jedno było pewne, że w rezultacie pobici byli wszyscy, pobici zanim się opowiadanie zaczęło, w tym strasznym rozpędzie heroizmu i geniuszu, który zmiatał armie, jak snopki słomy.

Więc Marengo — klasyczna bitwa na płaszczyźnie, ze swemi wielkiemi liniami, umiejętnie rozwiniętemi, z zabezpieczonym odwrotem w szachownicę, batalionami, stojącemi bez ruchu i bez słowa pod ogniem nieprzyjacielskim, — legendowa bitwa przegrana o godzinie trzeciej, wygrana o szóstej, w której ośmiuset grenadyerów gwardyi konsularnej złamało cały zapał mas kawaleryi austryackiej, bitwa, w której Desaix przybiegł na plac po śmierć swoją, ale i po to także, aby rozpoczynającą się ucieczkę zmienić w nieśmiertelne zwycięstwo!... Więc Austerlitz z pysznem swojem słońcem chwały w mgłach zimy, Austerlitz rozpoczęte zdobyciem Pratzen, zakończone strasznym pogromem w bagniskach zamarzniętych...

(Dalszy ciąg nastąpi).

owa zwierzęcość w człowieku jest pozostałością pierwotnego stanu natury, datującą się zatem od ery przedhistorycznego barbarzyństwa, czy też jest ona tylko wytworem współczesnej cywilizacyi, wytworem jej ujemnych a wybujałych stron, tak, że tylko przez powrót do stanu natury będzie ją można w zupełności zażegnać.

Niektórzy poeci, jak Maupassant lub Zola, skłaniają się do pierwszego poglądu; dla nich bestya w człowieku jest wyrazem prymitywnego stanu dzikości. Inni natomiast, jak Strindberg lub Tołstoj, hołdują innemu przekonaniu; podług nich zwierzęcość w człowieku ma swe źródło w nienaturalnej, spaczonej, współczesnej cywilizacyi.

Ostatnia powieść Tołstoja: „Kreutzerowska Sonata" zawiera czysto-moralizującą tendencyę, i o tyle zbliżona jest duchem do legend i wychowawczo-moralnych powiastek tego autora, z tą wszakże różnicą, że niniejsze dzieło zwraca się wyraźnie do czytelników sfer wyższych.

Tutaj, podobnie, jak w „Upiorach" (?) lub w „Rękawiczce", punktem środkowym, około którego się wszystko obraca, jest kwestya czystości w stosunku płciowym, jednakowoż w poglądach wielkiego rosyjskiego poety znajdujemy dzikszą, namiętniejszą konsekwencyę, niż u Norwegczyków. Ibsen przedstawił w swoich „Upiorach" straszne skutki, jakie za sobą pociąga lekkomyślność mężczyzny — dla rodziny, dla najbliższej generacyi. Björnson młodą kobietę, wymagającą od swego przyszłego małżonka bezwzględnej wstrzemięźliwości przed zawarciem małżeństwa. Zdawało się niemożliwem posunąć swe pretensye dalej. Aliści Tołstoj, jako prawdziwy Rosyanin, posuwa się aż do ostatecznych granic — rys to charakterystyczny, za pomocą którego w książce mej: „Wrażenia z Rosyi" starałem się typowość rosyjską określić. Podejmuje on na nowo stawiane mężczyźnie wymagania bezwzględnej czystości przed małżeństwem, rozszerza je jednak jeszcze bardziej wymaganiem tak zwanej czystości w małżeństwie, która to idea jest nawskroś nową.

Prawda, że Tołstoj w swej ostatniej powieści nie przemawia w swojem własnem imieniu. Można jednak już to na podstawie rozmowy, prowadzonej w kolejowym wagonie, w której poglądy, zwycięstwo odnoszące, zdają się być nader zbliżonemi do przekonań samego autora, jużto na podstawie refleksyj i poglądów bohatera, dosłuchać się zupełnej zgodności Tołstoja z rozwiniętymi w jego utworze poglądami. Przynajmniej na pewno to można twierdzić, że jego własne poglądy nie różnią się zasadniczo od wygłoszonych w jego utworze teoryj życiowych. Wszak nic nie uczynił, by jakiekolwiek bodaj w tym kierunku w czytelniku wywołać wątpliwości. Ten może go tylko poratować wzgląd, że w dziełku swojem; „W czem moja wiara"?, szedł wprawdzie temi samemi drogami, co jego bohater, nigdy jednak tak daleko, jak on.

Tołstoj występuje namiętnie w obronie starochrześciańskiego pojęcia dziewiczego stanu, jako jedynie cennego i godnego. Potępia on pełnemi siły słowy głupotę społeczeństwa, które niejedno mile dziewczę rzuca w ramiona zepsutego, przeżytego mężczyzny, byle tylko nie doznało rzekomego wstydu, pozostając w stanie panieńskim, który w oczach Tołstoja jest zaszczytem. Małżeństwo czy nie małżeństwo, ślub czy też zaniechanie wszelkich obrzędów — to dla Tołstoja jednakową ma wartość, we formie nie upatruje wcale wagi. Lecz z pierwszą kobietą, z którą połączył się mężczyzna, z pierwszym mężczyzną, któremu kobieta wierność zaprzysięgła, winien on, winna i ona, na całe życie być związanym. Czy im w pożyciu małżeńskiem szczęście towarzyszy, to nie wchodzi w zakres roztrząsanego postułatu; to jest rzecz podrzędniejszej wagi. Nowoczesne wyobrażenia, podług których miłość jest podstawą małżeństwa w niej znajdującego swe uświęcenie, wydają się Tołstojowi poniżeniem w tym rodzaju, jak to ludziom dawnych czasów, ba jeszcze nawet Heglowi z jego substancyonalnym sposobem myślenia „się wydawało". Tołstoj doszedł, zdaje się, do rezultatu — według orzeczenia niektórych pesymistów słusznego, — że to, co dawniej małżeństwem zwano i jeszcze tak poniekąd dziś się zowie, tylko tam jest możliwem, gdzie wszystko na powadze i karnem posłuszeństwie jest zbudowane, gdzie rodzice, gdy stosowna nadchodzi pora, córce małżonka, synowi małżonkę wyznaczają, a żona drży ze strachu przed mężem, którego obowiązaną jest — kochać. Oto jest klasyczna forma małżeństwa; żaden wolny, swobodny wybór, żaden rozwód; jeden pan, jedna wola, w razie oporu chłosta. wogóle pod każdym względem karność. Gdzie te normy nie znajdują zastosowania, tam podług niego miłość jest samowładczynią, połączenie płci rzeczą prywatną, przyczem działalność społeczeństwa ogranicza się do zapewnienia szczęścia — dzieciom. (C. d. n.)

NOWE PRĄDY FILOZOFII.

Nie i tak.

(C. d.).

Dla poglądu o »prawidłowości w naturze« Nietzsche ma tylko uśmiech politowania. Prawidłowości takiej niema i tylko dzięki złej interpretacyi filologicznej, bajeczkę o tejże urobiono. Z tej samej przyrody i z tych samych jej zjawisk możnaby wysnuć wnioski wprost przeciwne, możnaby wyczytać tyrańskie, bezwględne, nieubłagane przeforsowanie roszczeń do władzy. Możnaby tak jaskrawo przedstawić panującą wszędzie bezwyjątkowość i bezwzględność woli ku władzy, że dla określenia tej woli każdy wyraz, nawet wyraz »tyranja« okazałby się za słabym. Rezultat zaś z takich wywodów byłby zupełnie jednobrzmiącym z rezultatem wywodów z założeń wprost przeciwnych, a więc opiewałby, iż: »świat ma przebieg »konieczny« i »obliczony«, lecz nie dlatego, że rządzą nim prawa a dlatego, że absolutnie brak mu praw i że każda potęga o każdej chwili ostatnią wyprowadza konsekwencyę. Przypuśćmy nawet, że i to interpretacyą jest tylko — ha, tem lepiej.«

Po raz pierwszy Nietzsche sięga wgłąb, wdal psychologii, pojmując ją jako morfologię i naukę o rozwoju woli ku władzy. Według niego dotychczas psychologia utykała, ponieważ stały a nawet stoją jej na przeszkodzie różne a nadzwyczaj zakorzenione przesądy. I któżby poważył się wyznawać, że złe i dobre popędy wzajem się warunkują, kto chciałby zrozumieć, że afekty: nienawiść, zazdrość, chciwość, dążność do panowania są integralnemi i koniecznemi częściami składowemi gospodarstwa życiowego, one bowiem to życie warunkują; że przeto należy je zwiększyć, dążąc do rozwoju i podniesienia życia? Dobro i zło nie są niezmienne i nieznikome; i jedno i drugie samo z siebie czerpać musi siły do dalszego rozwoju. »Kto zacz musi być twórcą w złem i dobrem: ten zaprawdę winien być przedewszystkiem niszczycielem i winien łamać wartości. Tak tedy najwyższe zło należy do największego dobra — to zaś ostatecznie jest twórczem.«

Badając wszystkie moralności, które dotąd panowały i jeszcze panują, Nietzsche znalazł pewne rysy peryodycznie powracające i ze sobą połączone, z których skrystalizował dwa typy podstawowe: moralność panów i moralność niewolników. Typy te nie zawsze występują czysto, bo pojawiają się też usiłowania znalezienia pomiędzy nimi drogi pośredniej, co więcej, dostrzedz nawet można pomieszanie obu typów — nawet w jednym człowieku.

Wartości moralne powstały bądź wśród kasty panującej, bądź wśród — podległej. »W pierwszym wypadku, kiedy kasta panująca określa pojęcie »dobro«, — podniosłe, dumne stany duszy uważane bywają jako stanowiące o wybitności i wysokości szczebla społecznego. »Pan« odłącza od siebie istoty, w których objawia się przeciwieństwo takich podniosłych, dumnych stanów duszy, pogardza niemi. Należy tu zważyć, że w tym pierwszym gatunku moralności przeciwstawienia »dobry« i »podły« znaczą tyle, co »zacny, szlachetny, pański« i »pogardy godny«: — Antyteza »dobry« i »zły« innego jest pochodzenia. Przedmiotem pogardy bywa tchórz, lękliwiec, jednostka drobiazgowa, o własnej tylko myśląca korzyści, przedmiotem pogardy w równym stopniu bywa niedowiarek o skrytem spojrzeniu, jednostka poniżająca się, człowiek psiego gatunku, dający sobą pomiatać, żebrzący pochlebca a przedewszystkiem kłamca: zasadniczem wierzeniem arystokratów jest, że gmin jest kłamliwy. »My prawdziwi — synowie prawdy« — mówili o sobie w starożytnej Grecyi arystokraci. Na pierwszym planie stoi tu uczucie żywotności, tryskającej potęgi, szczęście wysokiego napięcia duchowego, świadomość bogactwa, które pragnie darzyć i oddawać: — i pan wspomaga nieszczęśliwego, lecz wcale albo prawie wcale nie z litości, a z wewnętrznego popędu, rodzącego się z nadmiaru władzy« Kasta panów tworzy więc wartości.

Inaczej naturalnie dzieje się, jeśli wartość określają podlegli, uciśnieni, niewolnicy. Spostrzegamy natenczas pesymistyczną niewiarę w stan człowieka a może odsądzenie wartości człowieka w ogóle. Niechętnie patrzy niewolnik na cnoty i zalety możnych, nie chce wierzyć w ich szczęściodajność i wyszukuje wszystko, co uciśnionym byt ułatwia i osładza. Zaraz tu spotykamy cenienie litości, usłużności, dobrego serca, cierpliwości, pilności i pokory. »Moralność niewolników jest zatem istotnie moralnością utylitarną. Oto ognisko, w którem powstało owe słynne przeciwstawienie: »dobro« i »zło«.«

Nietzsche w historyi odróżnia trzy epoki, w których nastąpiło wywyższenie rodzaju ludzkiego: klasyczną starożytność (Grecya i Rzym), włoskie odrodzenie i Francyę arystokratyczną do 18. w. Charakterystycznemi cechami każdego takiego wieku złotego są: 1) odwaga do zmysłowości — w najlepszem tego wyrazu znaczeniu, dobra wiara w świat doczesny i jego wartość życiową i 2) porządek stanowisk społecznych, różnica pomiędzy ludźmi wyższymi a niższymi i kult potężnej osobistości — jako takiej. Na upadek każdego z tych wieków złotych złożyły się najrozmai-

tsze okoliczności, które wywołały ostatecznie anarchię instynktów w jednostce i anarchię w życiu społecznem. Po upadku następowała — reakcya, zniżenie albo bodaj wstrzymanie rozwoju typu »człowiek«.

Reakcyą taką dla starożytnego helenizmu był »évenement Sokrates». »Sokrates z pochodzenia należał do warstw najniższych: Sokrates był z gminu. Wiadomo, widzi się dziś jeszcze nawet, jakim był brzydkim. Lecz brzydota, która sama w sobie jest zarzutem, u Greków była niemal zbiciem wszelakiego dowodu. Czy w ogóle Sokrates był Grekiem? Brzydota bywa częstokroć wyrazem skrzyżowanego, przez skrzyżowanie powstrzymanego rozwoju; w innych razach okazuje się jako obniżający się rozwój. Antropologowie wśród kryminalistów powiadają, że typowy przestępca jest brzydkim: monstrum in fronte, monstrum in animo. A przestępca — to décadent. Czyżby Sokrates był przestępcą? — Bądź co bądź nie przeczy temu przypuszczeniu ów sławny sąd fizyognomisty, sąd, który przyjacielom Sokratesa tak gorszącym się wydał. Cudzoziemiec, który rozumiał się na twarzach, w przejeździe przez Ateny powiedział Sokratosowi w oczy, że tenże jest monstrum, że kryje w sobie wszystkie złe narowy i żądze. Sokrates odparł poprostu: Znasz mnie, mój panie!« Pański smak starogrecki upada i dzięki Sokratesowi wchodzi na tory dyalektyki, z nią zaś górę bierze — plebs. Przed Sokratesem w dobrem towarzystwie nie znano manier dyalektycznych — uważano je za oznakę złego wychowania. »Wszędzie, gdziekolwiek autorytet liczy się jeszcze do dobrego tonu, gdzie nie »uzasadnia« a rozkazuje się. dyalektyk odgrywa po dziś dzień rolę arlekina: smieją się z niego, nikt go nie bierze na seryo.« To więc odstraszało od Sokratesa. A cóż właściwie doń pociągało? Oto, że w tym czasie, kiedy popędy się rozluźniły, kiedy każdemu groziło niebezpieczeństwo zostania »monstrum in animo« on, Sokrates, pozornie niebezpieczeństwo to przezwyciężył. By uniknąć tyranji popędów, uczynił z Rozumu — tyrana, stawiając ową słynną trójcę: Rozum-Cnota-Szczęście. Nie uczynił tego z wolnego wyboru: wybór taki był ostatnim środkiem, mogącym ocalić go od upadku. Trójca ta sprzeciwia się zasadniczo naturze Helenów a jeśli Sokrates znalazł zwolenników, dowodzi to tylko, jak źle działo się podówczas w Atenach. Anarchia instynktów spowodowała, że można było wybierać tylko między zanikiem albo nauką Sokratesa. A pójść za tą ostatnią znaczyło tyle: »należy tak uczynić jak Sokrates uczynił, należy przeciw ponurym żądzom ustanowić światło dzienne — ciągłe, światło dzienne rozumu. Należy być mądrym, jasnym za każdą cenę: każde ustępstwo, uczynione instynktom, pierwiastkom nieświadomym — stacza w dół....« Rozumie się, że ta poprawa moralności jest jednym z najstraszniejszych błędów, bo »najsilniejsze światło dzienne, rozumność za każdą cenę, życie jasne, zimne, ostrożne, świadome, pozbawione instynktów, zwalczające instynkty, było też tylko chorobą, inną chorobą — nie było zaś bynajmniej powrotną drogą do »cnoty« do »zdrowia« do »szczęścia«..... Powinność zwalczania instynktów — to formułka dla »décadence«: jak długo życie się wznosi, szczęście jest instynktem«.

Czem dla helenizmu Sokratyzm, tem był, według Nietzschego, chrystyanizm dla Rzymu, reformacya dla odrodzenia a rewolucya francuska dla ery Ludwika XIV.

W naszych czasach szał niwelacyjny doszedł do szczytu. Człowiek jako »typ« upada. Może przyjdzie czas, kiedy rozwój lepszej, szlachetniejszej indywidualności będzie niemożliwym, kiedy »człowiek wyższy« wcześnie zginie, nie wskutek cierpień i walki, bo te jego siły potęgują, ale wskutek wielkiego wstrętu do innych i z — osamotnienia.

Lecz Nietzsche — jak już rzekłem — wierzy w żywotność typu »człowiek« i w możność rozwoju jego. Wierzy i w to, że typ ten rozwinie się — przez rozwój moralności, chociaż właściwie i odwrotnie działby się winno. Nietzsche jest też pewnym, że moralność rozwinie się a raczej, że powstanie prawie nanowo, bo moralność nasza dzisiejsza nie jest według niego moralnością, a że nią nie jest, udowadnia genialnie we wszystkich swych dziełach, krytykując i niszcząc, burząc i druzgocząc wszystko — co teraz mianem moralności się szczyci.

Według niego uważano dotąd jako właściwe znamię postępku moralnego — brak pobudek osobistych i jest rzeczą pewną, że w początkach chwalono i odznaczano wszystkie nie — egoistyczne postępki jedynie ze względu na pożytek publiczny. Dziś jednak ludzkość pojmować zaczyna, że nic nie jest tak korzystnem dla ogółu, jak najdalej idący wzgląd na siebie. »Uczynić z siebie osobę i dobro osoby tej mieć w każdym czynie na oku — to więcej, aniżeli owe litościwe uczucia i czyny na korzyść innych. Wszyscy cierpimy wciąż jeszcze na zbyt małe uwzględnienie osobowości — w nas samych, osobowość mało jest rozwinięta — przyznajemy: raczej gwałtem odciągano od niej nasze usposobienie, przygotowując zeń ofiarę dla państwa, nauki, ludzi potrzebujących pomocy. Zupełnie tak samo, jak gdyby tu szło o zło, z którego należy uczynić ofiarę. I dziś pracować będziemy dla bliźnich, lecz tylko o tyle, o ile praca ta nam najwyższe przyniesie korzyści, nie mniej i nie więcej. Wszystko zależy tylko od tego, co kto za korzyść swoją uważa; niedojrzała, nierozwinięta, brutalna jednostka pojmie też korzyść — najbrutalniej«.

Dr. Garfein.

(D. c. n.)

RUDOLF J. KRONBAUER.

PAMIĘTNIKI SEKUNDARYUSZA.

Z czeskiego przełożył Wojciech Szukiewicz.

(Ciąg dalszy).

Nie było nawet jeszcze szóstej godziny rano, gdy ktoś do drzwi zapukał.

„Co tam?“ wołam zaspanym głosem.

„Czy mogę wejść,“ panie sekundarjuszu. Poznałem głos dozozorczyni.

„Zaraz, zaraz,“ wołam zeskakując z łóżka, ściągam szlafrok z kościotrupa i wkładam na siebie. Na zawołanie weszła dozorczyni. Na pierwszy rzut oka wyczytałem w jej twarzy jakąś nieśmiałość i niepewność. Wypowiedziałem dość bezwzględnie swoje zapatrywanie na wczorajszą zabawę, której dostarcza chorym, i raz na zawsze czegoś podobnego kategorycznie zabroniłem. Spuściła wstydliwie oczy ku ziemi jak szesnastoletnia dziewczynka. Że się nie wstydziła za to ręczę, choć byłem tylko w krótkim i wolnym szlafroku. Wszak nie darmo nazywają się dozorczynie w zakladowym żargonie — żołnierkami. Bo zresztą warto wziąść pod uwagę, jakich ludzi przyjmuje się na dozorców i dozorczynie dla obłąkanych, tych wielkich dzieci bez rozumu. Oprócz rannej i poobiedniej wizyty, podczas której lekarze w ciągu dziesięciu minut przejdą cały korytarz, gdzie jest zgromadzonych dwudziestu, trzydziestu i więcej chorych, ci nieszczęśliwi są pod opieką dwóch dozorców lub dozorczyń. Inne urządzenie tymczasowo jest niemożliwe, choć dawno można było o tem pomyśleć i myśl tę energicznie w czyn przeprowadzić, należało ustanowić jakiś kurs dla dozorców na podobieństwo kursu dla akuszerek. Gdziekolwiek się kto zglasza o jakie zajęcie, wymaga się od niego wstępnego przygotowania, dowodu uzdolnienia, koniecznego dopełnienia tych albo innych obowiązków. Najprostszy posługacz w kantorze musi się wykazać mnóstwem świadectw i dowodów moralnego prowadzenia się; człowiekowi zaś, zglaszającemu się na dozorcę do zakładu dla obłąkanych, wystarczy książka służbowa, przy czem, naturalnie wcale nie szkodzi drobnostka, w tym rodzaju, że niejeden z kompetentów bywa kulawy, przygłuchy albo jednooki. Co wiecie o tem człowieku, kto zna jego charakter, jego zwyczaje. namiętności i upodobania? Trafiają się ludzie porządni, uczciwi. którzy mają serce w piersiach a współczucie i miłosierdzie w duszy, i ci raczejby sobie wyrządzili szkodę, niżeli któremu z tych biedaków; mogę otwarcie powiedzieć, że poznałem kilku doskonałych i sprawiedliwych dozorców, których tak cenilem, jak porządnego księdza; lecz są między nimi niegodziwi okrutnicy, brutalne potwory, co z nieświadomym szaleńcem, nie rozumiejącym niczego i patrzącym bojaźliwie na swych tyranów, postępują jak bezwzględni dozorcy więzienni ze zuchwałymi przestępcami. Roczniki pewnego zakładu dla obłąkanych ilustrują moje słowa strasznemi przykładami. Stało się to wprawdzie bardzo dawno, bodaj przed dziesięciu laty, lecz faktu, że dwóch dozorców zatłukło chorego cynowemi talerzami, nikt nie zaprzeczy, i nie zmieni. A cóż mówić o owym wypadku w jednym polskim zakładzie, który był przedmiotem interpelacji w radzie państwa.? Coś podobnego jest przecie występkiem najcięższego kalibru. Tak wybitne zdarzenia są, co prawda, dzięki Bogu, rzadkością, lecz kto może znać i kontrolować wszystkie okrucieństwa, jakich się dopuszczają dozorcy na swych pupilach? Ile ordynarnych wymysłów i nieczułych a wyrafinowanych przezwisk uchodzi bezkarnie? Chory skarży się rano przy wizycie, dozorca uśmiechnie się na wpół pobłażliwie. na wpół litośnie, ale zawsze impertynencko i powie z bezwstydnym spokojem: „Proszę pana doktora, już tydzień grozi, że mnie będzie o to skarżyć.“ A teraz sądźcie komu wierzyć? Może chory ma rację, a może usprawiedliwienie dozorcy opiera się na rzeczywistym fakcie, jak się to często przytrafia. Nie pozostaje nic innego, jak dozorcę pilnie strzedz i złapać na gorącym uczynku albo mieć świadków.

Kto zna tych ludzi, kto wie cokolwiek o ich przeszłości? Powiadają (a można temu wierzyć), iż gdy człowiek jest bez zajęcia — idzie do zakładu na dozorcę. Dostanie trzynaście albo czternaście guldenów miesięcznie, strawę trzeciej klasy (ale mimo to taką, jakiej wielu przed tem na swe oczy nie widziało) i ubranie, w którem może wychodzić i na zewnątrz zakładu, a w którym wygląda na rzemieślnika lub mieszczanina. Za to musi spędzić cały tydzień, noc i dzień, na korytarzu w pośród

chorych, posłużyć i pomódz im w każdym wypadku, a baczyć bardzo pilnie i czujnie aby jeden drugiemu albo sobie samemu jakiej krzywdy nie zrobił. Lecz tego wszystkiego panowie dozorcy nie robią — właściwie rzadko kiedy robią; siedzą sobie spokojnie przy stole palą fajeczkę albo cygaro, wyłudzone od chorych, i czytają jakiś „krwawy“ romans,a wszystkie ich obowiązki wykonywa dwóch lub trzech chorych, których sobie wyćwiczą jak myśliwy psa. Mają także jeden przywilej — wolno im raz na tydzień od drugiej godziny po południu do ósmej wieczorem wyjść na przechadzkę, z której większość wraca należycie — pijana, koło wrotnego i przez dziedziniec idą pewną nogą, prosto, wytężając wszelkie siły, aby stąpać po ludzku i aby pan prymaryusz, gdyby stał przypadkiem przy oknie, niczego nie spostrzegł. Niejeden z nich posiada już tak zwane „ultimatum,“ przyszedł dziś znowu opity jak wół, a gdyby o tem ktokolwiek doniósł, musiałby na drugi dzień rano opuścić zakład, czego sobie żaden z nich nie życzy. „Ta nasza służba, to nie miód,“ mówią swym znajomym w cztery oczy, „ale człowiek przecie leży tylko na ławce z poduszką pod głową, jak parobek na gospodzie.“ Przyjdą do domu ze spaceru i każą sobie usługiwać jak wielcy panowie.

„Wałachu,“ woła podpity dozorca na jednego z obłąkanych, któremu udzielił tego przezwiska z powodu jego chodu, „podaj mi wody!“ Pali go w gardle, wyżłopie kufel wody, odetchnie sobie, otrze usta rękawem od koszuli i komenderuje dalej.

„Podaj mi dymkę!“

Bierze podaną fajkę do ręki, wtyka palec do główki i klnie okrutnie.

„Ty jeden ch....., przecie nie napchana!“

„Wałach“ napycha fajkę i podaje swemu tyranowi.

„Zapal!“ rozkazuje dozorca dalej, a biedak, możny synek z dwieściekorcowego majątku, jedynak i dziedzic, który ukończył średnią szkołę, musi posługiwać takiemu gburowi.

„Jak usnę, wyjmiesz mi fajkę z ust i postawisz równo do kąta, aby „niezamokła,“ rozumiesz?“

„Tak jest, rozumiem.“

„Wałach“ leży na łóżku i patrzy, czy dozorca zamyka oczy i czy dym wali z rury. Zdaje mu się. że już nie pali, wstaje i ostrożnie wyjmuje fajkę, zaciśniętą mocno między zębami. Śpiący dozorca budzi się.

„Idź precz,“ żachnie się na przelęknionego „Wałacha,„ „jeszcze nie śpię·“

To się powtarza dwa — albo trzy razy, aż wreszcie dozorca usypia tak twardo, żeby go wystrzał armatni nawet nie obudził. Możnaby mu i dwie fajki z ust wyciągnąć, a on będzie spał jak narkotyzowany.

Dopiero wtedy może i wałach pomyśleć o śnie.

Na drugi dzień dozorca markotny, chce się mu palić, ale niesmakuje, — idzie na dół do kuchni po kwaszony ogórek. Na obiad ma — kaszę na leguminę „Brrr.... ktoby to jadł, to nie dla ludzi,“ zamruczy i odepchnie talerz z kaszą. „Wałach,“ który posiada środki aby płacić za lepszą strawę, ma wieprzową pieczeń z kapustą i knedlikiem, o mój panie — to przecie zupełnie co innego. Starczy jedno spojrzenie, a „Wałach“ nie dotknie jadła. „Cóż to nie jesz? — nie smakuje ci? ty byś raczej kaszę jadł, prawda?“ odzywa się dobrotliwie dozorca. „Wałach potakuje głową, zgarnia kaszę, a pan dozorca konsumuje pieczeń z kapustą.

A pani i panny dozorczynie? Poprzednio uczyniłem wzmiankę o żołnierkach. To wystarczy. Jedna stoi właśnie przedemną; zamyśliłem się i zapomniałem o niej na śmierć. Dotychczas stoi w kącie bojaźliwie i nieśmiało jak w kościele. Teraz dopiero przyjrzałem się jej dokładnie i przyznaję otwarcie, że powierzchowność jej nie mało mnie zdziwiła. Widziałem ją po raz pierwszy wczoraj w kancelaryi dyrektora, gdzie nie mogło mi nawet przyjść na myśl przyjrzeć się jej twarzy, a drugi raz w celi czytającą romans, kiedy mi było całkiem obojętne, czy to jest sześćdziesięcioletnie straszydło, czy też dwudziestoletnia dziewczyna. — Przedemną stoi dziewczę, conajmniej dwudziestopięcioletnie o delikatnych rysach twarzy i nad podziw subtelnych ustach, ukazujących dwa rzędy, pięknych, drobnych ząbków. Podniosła oczy myśląc, że na nią uporczywie patrzę. Są wielkie, ładne, jasno-złoto-kasztanowate, ale żywe i złośliwe. Byłem o tyle naiwny, iż czekałem, aż się zaczerwieni. Udawała nieśmiałą, bawiąc się fartuszkiem. Na honor, wygląda jak bukiecik; niebieskie, perkalowe, czysto i niepokalanie wyprasowane, niezmięte szaty, na piersiach rurkowane i wolne, w pasie spięte szesokim rzemieniem. Młoda, świeża, pierś za wolną suknią ukryta, jak białe astrachańskie jabłko za liściem — nie widać go, lecz liść ulega pod naciskiem i układa się według jego formy. Płytkie trzewiki ...... „czy rozum postradałem?“ wołam sam na siebie przyłapawszy się na tych lubieżnych myślach.

„Cóż słychać nowego?“ zapytałem się jak na przełożonego przystało dość żywo, opanowując swoją słabość.

Podniosła oczy, i w tej chwili wydawały mi się tak czyste i niewinne, że przykro mi było, iż ją zastałem przy czytaniu tak wszetecznej książki. Dziwne, prawie niezrozumiałe uczucie, ale uważajcie, a może go kiedy również doznacie. Widzicie krasne, czerwone jabłuszko, którego wprawdzie nie zamierzacie jeść, a mimo to mówicie: „szkoda, że robaczywe!“

„Pan dyrektor donosi, że poprzednik pana doktora dziś w nocy nagle umarł, i że o siódmej godzinie jest msza żałobna w kaplicy zakładowej,“ rzekła wyraźnie przytłumionym głosem, jakby się bała mówić donośnie.

„Jak się nazywał pan doktor?“

„Rudolf Krobsbauer.“

Szukam w swych wspomnieniach tego nazwiska ale na żaden sposób przypomnieć go sobie nie mogłem.

„Jak wyglądał?“ pytam się chcąc dopomódz zawodzącej mnie pamięci.

„O — był bardze ładny, czarnowąsy i dobry, jak rzadko drugiego,“ wyrwały się jej słowa natchnionego uwielbienia. W oczach zapłonęło kilka jasnych iskier, jak to bywa u złotokasztanowatych oczu, których tęczówka pełna jest żółtych punktów jak złotego piasku. Chciałem zwrócić jej uwagę, że nie pytałem się wcale o te wszystkie szczegóły, lecz słowa ugrzęzły mi w gardle. W tem wzrok mój padł na fotografię, stojącą na stole.

„Nie wiecie, kto to jest?“ zapytałem się, pokazując podobiznę.

„Wiem, panie doktorze.“

„Więc któż to?“

„Narzeczona pana sekundarjusza,“ odpowiedziała z wyrazem nietajonej niechęci.

„Dlaczegóż nie wziął fotografii ze sobą?“

„Bo zapomniał o niej.“

„A to znowu dla czego?“

Dziewczyna nie odpowiedziała, odwróciła twarz, a zwróciwszy się do łóżka, z którego wzięto mego poprzednika gdy był ciężko chory, rozpłakała się w głos.

Nagle żachnęła się gwałtownie i otarła oczy fartuchem.

„Całuję rączki,“ powiedziała na wpół płacząc, i w jednej chwili znalazła się za drzwiami.

Pochodziłem trochę po pokoju. Byłem wzruszony, ale przyczyny sam nie wiedziałem. Spojrzałem na fotografię. Więc zapomiał o tobie? A dlaczego?

Zwróciłem się ku drzwiom.

Dla tej?

Hm, hm — no, bardzo możliwe. Wszystkie może nie są żołnierkami..

Eh — głupstwo, co mi do tego. Wkrótce potem ubrałem się szybko i szedłem do kantyny na śniadanie.

* * *

Kiedy wpół godziny potem przyszedłem do kancelaryi dyrektora, zastałem zgromadzonych wszystkich kolegów, rozmawiających z nim bardzo żywo. Krótkie powitanie a gdzie trzeba było, i przedstawienie się odbyłem prędko. Przez chwilę mówiono o nieszczęśliwym losie naszego towarzysza.

„Panie sekundarjuszu,“ odezwał się do mnie dyrektor, „nie ma rady, musisz pan na stałe zająć miejsce zmarłego.“

Ukłoniłem się, przyjmując w milczeniu podawaną mi prawicę.

Potem udaliśmy się do kaplicy. Jestto właściwie były kościół klasztorny, stawiany w dziewiczo-czystym stylu gotyckim. Oprócz obrazów, malowanych na ścianach, nic nie zostało z jego dawnej świetności. Kilka tanich, niepozornych i ordynarnie odrobionych figur, krzyżowa droga w prostych czarnych ramach, będących wyraźnie dziełem obłąkanych w zakładzie i rząd prostych, żółto lakierowanych ławek, oto wszystko, co ozdabia a raczej jako tako wypełnia główną nawę. Boczne wgłębione ołtarze, są równie nędzne i biedne, jak te które można widzieć w kaplicach najuboższych wiosek. Główny ołtarz, dzieło umiejętnej pracy rzeźbiarskiej, wykonany jest z piaskowca w stylu czysto gotyckim. Wysoki czarny krzyż bez postaci Ukrzyżowanego, stojący na białym błyszczącym ołtarzu, imponuje swoją, że tak powiem symboliczną prostotą i bezpretensyonalnością. Gdy stoisz w głównej nawie, zdaje ci się, że nic innego nie widzisz, tyko ten czarny krzyż, który wyrasta w oczach i dosięga niebios. W górze nad ołtarzem po lewej i prawej i prawej stronie znajdują się dwa oratorja o oknach, zabitych deskami. Zostają one w związku z korytarzem — zabicie to jest więc nieuniknione. Mogłoby się przytrafić, żeby który z obłąkanych zabłądził do oratorjum. a życie mu już całkiem zbrzydło.....

Po co i na co właściwie pisać o takich nieskończenie smutnych rzeczach? (D. c. n.)

Z CHWILI.

(Kronika społeczno-polityczna.)

IX.

(Rosya przed sądem Europy. — Zaburzenia robotnicze w Ameryce. — Wystawa w Chicago.)

Rosya staje od czasu do czasu przed forum Europy, w roli oskarżonego o gwałty i bezprawia, popełniane na ludności podwładnej. Dość przypomnieć tu mowę Imbrianiego na kongresie pokoju w Rzymie, drukowany, wszystkim

członkom kongresu doręczony protest Polaków — i pisemne rewelacye hr. Denheim-Brochockiego. Wszystko to jednak maleje wobec ostatnich wypadków, które odsłoniły światu jawne i podziemne postępowanie rządu moskiewskiego. Owa „Matuszka — Rosya,“ tak prawdziwie po szpiclowsku węsząca wszędzie spiski i zamachy, trwoniąca krocie na honorarya dla agentów prowokacyjnych, by w następstwie ich działalności unieszczęśliwiać niewinnych — ta sama Rosya bierze czynny udział w knowaniach rewolucyonistów bułgarskich i kompromituje się przed Europą, jako wspólniczka powieszonych już w Sofji: Popowa, Milarowa, Kaługurowa i innych. Powiedzieliśmy niedawno, że oburzenia platoniczne nie wzruszają Moskwy, zgangrenowanej dziś moralnie i fizycznie — publiczne jednak oskarżenia, wygłaszane przed forum parlamentu niewątpliwie wywierają silne wrażenia na rządzących w Petersburgu. Głos posła Szczepanowskiego o okrucieństwach moskiewskich napsuć musiał krwi w ognisku różnych okazów, gdzie wszyscy łamią sobie teraz głowę nad poskromieniem wewnętrznego wroga: cholery i uspokojeniem wzburzonych umysłów w Astrachaniu, Saratowie i Nowogrodzie.

Warto bliżej zapoznać się z mową Szczepanowskiego. Na zarzut Vaszaty'ego, notorycznego moskalofila, jakoby polacy głosowali za złotą walutą z nienawiści ku Rosyi, i pchali Austryę ku wojnie, odrzekł autor „Nędzy Galicyi“, że podobne oskarżenia wyjęte są z fantazyi przyjaciela carskiego, bo wojna taka rozegraćby się musiała na polskiej ziemi, a tego sobie wszak życzyć nie możemy. Również z lojalności zarzutu Polakom czynić nie można, bo trudno nie być lojalnym w państwie, gdzie doznaje się opieki a na drodze krewienia polskości przeszkód nam nie stawiają. Następnie przedstawił mowca w dosadnych barwach krzywdy, jakich naród nasz pod rosyjskim zaborem doznaje. Ilość bezprawnie skonfiskowanej ziemi w Królestwie obliczył p. Szczepanowski na 15 milionów morgów, co więcej wynosi, niż Czechy, Morawa i Szląsk razem wzięte. Serdeczne dzięki należą się Sz. Posłowi od całej Polski, jak długa i szeroka, za tak doskonałe rzecznictwo naszych bólów i skarg — bo odpowiadając Vaszaty'emu mówił p. Szczepanowski imieniem nietylko naszego kraju, lecz całej, uciemiężonej i współczującej cierpiącej braci, Polski. Poseł rusiński Barwiński należycie poparł Szczepanowskiego imieniem narodowców.

* * *

Wojna domowa na małą skalę rezegrała się niedawno w Homstead, niedaleko Pittsburga, w Stanach Zjednoczonych. Niejaki Carnegie milioner, właściciel olbrzymiej stalowni, zatrudniającej przeszło 4000 robotników słowiańskiej narodowości, którego dochody, z powodu spadku cen za szyny stalowe, zmniejszyły się cokolwiek, zniżył robotnikom płacę o 30% i tem wywołał zaprzestanie pracy, bez groźniejszych wypadków. Gdy jednak amerykański plutokrata uznał za godziwe sprowadzić obcych robotników — dotychczasowi najsłuszniej tem oburzeni wypędzili przybyszów, sami niepowracając do pracy. Odtąd rozpoczęła się między stalownią a robotnikami formalna walka. Fabryka przybrała pozór twierdzy przez otoczenie się rowami i palisadami, fabrykant zaś Carnegie, usiłował przy pomocy prywatnych policyantów zmusić strejkujących do podjęcia robót. Między prywatną siłą zbrojną a robotnikami, przyszło do bitki. która skończyła się zwycięstwem pracujących. Nas interesuje tu fakt, iż w liczbie strejkujących i walczących czynnie za swe prawa było bardzo wielu polaków.

* * *

Z każdym dniem, z godziną niemal każdą, rosną budynki, pałace, pawilony na placu wystawy wszechświatowej w Chicago, dokąd na rok przyszły będą podążały miliony jankesów, no, i tysiące Europejczyków.

Obecnie to dopiero szkielet, a raczej rusztowanie, które zwolna i zwolna przyobleka się w ciało. Jest to jednak już dzisiaj rusztowanie tak potężne, są to przygotowania tak wspaniałe, że warto się im przypatrzyć.

Za miejsce pod wystawę wybrano dwa parki, leżące o 7 mil angielskich na południe od Chicago: park Jackson i Midway Plaisance. Pierwszy od czoła jest oblany wodą na przestrzeni półtorej mili i posiada 600 akrów rozciągłości; drugi ogród — ogniwo, łączące pierwszy z parkiem Waschington'a, jest długi na milę, 600 stóp szeroki i 85 akrów rozległy. Teren jest równy, miejscami jeno falisty, miejscami znowu sztucznie zagłębiony, dzięki czemu powstaną rozmaite stawy, laguny i wyspy.

Na części północnej placu, na linii półkulistej staną 44 budynki, każdy kosztem jednego Stanu Unii; dzisiaj zaledwie fundamenta tu i owdzie wznoszą się cokolwiek po nad ziemię. Z działem amerykańskim połączą się pałace, gdzie znowu państwa europejskie pomieszczą okazy swojego przemysłu i dowody swojej cywilizacyi. Po za „Europą“ idą szeregiem inne części świata.

Na zachodzie widzimy niemal już całkowicie gotowy pałac Sztuk Pięknych. Z żelaza i kamienia postawiony, na kolor terrakotty pomalowany, 500 stóp długi i 800 stóp szeroki, w stylu jońskim, sprawia potężne wrażenie. Światło w nim dla obrazów i rzeźb wyborne; szereg sal oddzielnych pozwoli artystom każdej narodowości zgromadzić się oddzielnie.

Budynkiem niezwykłym i zajmującym jest „gmach kobiet.“ Główne jego znamię to okoliczność, iż plany tak główne, jak i szczegółowe wyszły z głów kobiecych; zajmą tam miejsce okazy, odzwierciedlające pracę kobiet we wszystkich gałęziach, ich rozwój umysłowy. Szczyt gmachu uwieńczą trzy grupy: „Cnoty niewieście,“ „Kobieta jako dusza cywilizacyi“ i „Stanowisko kobiet w dziejach wszechświatowych.“

W kierunku z północy na południe biegnie „pałac ogrodowy;“ tuż obok widnieje „pałac komunikacyj.“ Oba gmachy są to olbrzymy, zwłaszcza pierwszy, którego kopuła jest 113 stóp wysoka i 187 stóp średnicy; pod jej szkłem spoczną kwiaty, oraz drzewa wszystkich ziem. Na południowej części placu leży „pałac górniczy i hutniczy,“ tudzież „pałac elektryczny.“ Oba długie na 700 stóp a na 350 szerokie. Pałac elektryczny, mający 10 wież, 4 kopuły, niezliczoną ilość małych kopuł maurytańskich, oraz istny las masztów i kolumn korynckich, jest umyślnie tak zbudowany, aby w nocy, podczas oświetlenia elektrycznego, czarodziejskie wywoływał złudzenia

Pomijamy „halę machin,“ „pałac rolnictwa.“ warsztaty, domki leśnicze, folwarki, obory, choć dla rolników dział to będzie najbardziej zajmujący, gdyż Ameryka Północna, zalewająca Europę pszenicą, wysadzi się tutaj właśnie bardzo pokaźnie. Najpokaźniej atoli, wprost zdumiewająco, wygląda „pałac przemysłowy.“ Będzie on na 1687 stóp długi, 787 stóp szeroki, a dach spocznie na olbrzymich łukach, 245 stóp wysokich. Takich łuków jest 22: każdy z nich waży 125 tonn. W ogóle na zbudowanie tego pałacu wyszło 5,000 tonn żelaza, a pomieści on ze wszelką łatwością 70,000 osób. Przestrzeń, przez niego zajęta, ma 41 akrów rozległości; szkła zużyto 41 wagonów, a 82,000 lamp elektrycznych oświetli o zmierzchu ową salę olbrzymią. Na zewnątrz wygląda jakby go postawiono z marmuru; istnieje bowiem materyał ogniotrwały, zwany „staff;“ obrzuca się nim żelazo, a po wyschnięciu nabiera zupełnie wyglądu marmuru. Wszelkie płaskorzeźby, arabeski, gzymsy, z łatwością można w nim i na nim wyrabiać. Złudzenie jest zupełne.

Wieńczy wreszcie wystawę prócz „pałacu rybołówstwa“ jeszcze „pałac rządu Unii,“ gdzie znajdą pomieszczenie wszelkie okazy, odźwierciedlające sposób administrowania krajami Unii; tu również będzie umieszczona mapa wypukła Unii, 400 stóp kwadratowych mająca.

W sprawie produkcyi dramatycznej.

Piszą nam z Warszawy:

Pomimo dość częstych zdań przeciwnych, konkursom dramatycznym w naszych warunkach trudno odmówić poważnego znaczenia. Stanowią one bądź co bądź jeden z najgłówniejszych środków do ożywienia tak ospałej u nas produkcyi dramatycznej. A jeśli, ogólnie biorąc, dotychczasowe konkursa tak mało zadowalające wydały rezultaty, nie należy winić o to samego systemu, lecz fałszywe jego zastosowanie, a mianowicie wadliwy ze wszech miar sposób rozstrzygania konkursów.

Utwór sceniczny daje się ocenić należycie wyłącznie ze sceny. Najwytrawniejszy nawet znawca teatru, reżyser, przez którego ręce przeszły setki sztuk najrozmaitszego rodzaju, z samego czytania tylko nie potrafi sobie zdać dokładnie sprawy o scenicznej wartości utworu. Byliśmy więc niejednokrotnie świadkami, że sztuki, odznaczone pierwszą nagrodą przez sędziów konkursowych albo wcale się nie nadawały dla sceny, albo wiodły na nich żywot efemeryczny, gdy utwory odrzucone odpowiadały zupełnie jej wymaganiom.

Ze względu na powyższe niedogodności, redakcya „Kuryera Warszawskiego“ chwyciła się przy rozstrzyganiu ostatniego swojego konkursu dramatycznego innej drogi, a mianowicie, korzystając z uprzejmości obecnej dyrekcyi Teatrów, postanowiła przed wydaniem ostatecznej decyzyi sądu konkursowego, wystawić na scenie sztuki, przez sąd ten zalecone do grania.

Sztuki te będą wystawiane na warunkach następujących:

1. Sztuki zalecone będą wystawiane przez dyrekcyę Teatrow dowolnie, bez porządku z góry powziętego, jedynie w miarę przygotowania ich dla sceny; dyrekcya przyjmuje do wystawienia najwyżej 5 sztuk.

2. Każda z wybranych sztuk będzie wystawiona 5 razy, przez 5 wieczorów bezpośrednio po sobie idących; dla każdej sztuki z konkursu

będą wyznaczone jedne i te same stałe dnie w tygodniu.

3. Pomiędzy pierwszem wystawieniem jednej sztuki a pierwszą reprezentacyą drugiej, pozostawia się czas dwóch tygodni, niezbędnych dla artystów do wyuczenia się ról; dyrekcya teatrów jednak zastrzega sobie w razie nagłej choroby artysty, uczącego się roli, lub innych nieprzewidzianych przeszkód, od dyrekcyi niezależnych, dłuższy czas do należytego przygotowania sztuki zaleconej.

4. Z uwagi na bezimienność sztuk, których autorowie będą ujawnieni dopiero po rozstrzygnięciu konkursu, role w sztukach będzie obsadzała dyrekcya Teatru.

5. Za każdą sztukę, wystawioną na scenie, dyrekcya wypłaca autorowi po rozstrzygnięciu konkursu, przyjęte dotąd honoraryum zwykłe 300 rub. Niezależnie od tego, autorowie dwóch sztuk, mających największe powodzenie kasowe w ciągu pierwszych pięciu widowisk, otrzymają od dyrekcyi 5% od dochodu brutto z tychże widowisk; sztuki, rzecz prosta, przechodzą na własność dyrekcyi Teatrów Warszawskich.

6. Dla wszechstronnej oceny powodzenia każdej sztuki, dyrekcya Teatrów będzie dostarczała redakcyom pism miejscowych codziennych ścisłych raportów o dochodach kasowych z 5 przedstawień każdej sztuki.

7. Wypłata honoraryum autorom sztuk przez konkurs nie nagrodzonych (koperty nagrodzonych przez komisyę sędziów będą otwarte), będzie uskuteczniona z chwilą, gdy nazwiska tych autorów będą dyrekcyi ujawnione; w obec czego autorowie sztuk granych, lecz nie nagrodzonych, powinni przysyłać dyrekcyi koperty, zupełnie podobne do tych, jakie na konkurs nadesłali. Po zamknięciu konkursu, redakcya „Kuryera Warszawskiego" omawiane koperty również złoży w dyrekcyi.

8. W stosunku do warunków konkursu, w numerze 260-ym „Kuryera Warszawskiego" w r. z. ogłoszonych; wystawa sztuk w Teatrze będzie traktowana przez komisyę sędziów, jako jeden z bardzo ważnych sposobów wszechstronnego ocenienia prac konkursowych, które bez reprodukcyi scenicznych tylko teoretycznie ocenioneby być mogły.

9. Po ukończeniu widowisk w Teatrze, komisya sędziów wyda swój wyrok ostateczny co do sztuk, na konkurs nadesłanych.

Jak wszystko na świecie i nowy ten sposób rozstrzygania konkursu ma swoje strony słabe. Przypuśćmy, co rzeczą nie jest niemożliwą, że komisya sędziów zaleci pięć sztuk do grania. Wówczas z góry oznaczony termin rozstrzygnięcia konkursu ulegnie zwłoce, jeśli nie ad calendas graecas, to w każdym razie dość dalekiej przyszłości. Trudno bowiem wymagać od dyrekcyi teatru, aby przez dłuższy przeciąg czasu karmiła publiczność wyłącznie czy przeważnie materyałem konkursowym. Byłby to eksperyment zbyt ryzykowny, zważywszy, że pomiędzy sztukami zaleconemi do grania mogą się znaleźć utwory, które upadną po pierwszem widowisku. Dotychczasowe zaś wyniki konkursów nie zabezpieczają nas wcale od tego rodzaju niespodzianek.

Niełatwe zadanie oczekuje dalej sędziów konkursowych, a mianowicie ferowanie wyroku, gdy krytyka publiczności, a co najważniejsza kasa, wypowie już swoje zdanie o wartości utworu. Przy największej nawet objektywności pojedyńczych sędziów, o sąd bezstronny w takich warunkach będzie bardzo trudno.

W końcu i zastrzeżenie, „że autorowie, nie życzący sobie konkursowego wystawiania na scenie, nie mogą się ubiegać o nagrody", pozostaje w sprzeczności z pierwotnemi warunkami konkursu, w których niema mowy o tem zastrzeżeniu.

Mimo to jednak sposób rozstrzygnięcia konkursu dramatycznego, projektowany przez „Kuryer Warszawski," uważamy za niezaprzeczony postęp w porównaniu z dotychczasowym systemem. Daje on bowiem ostatecznie najlepsze jeszcze rękojmie, że będzie nagrodzony utwór, odznaczający się największemi zaletami.

Skuteczniej jednak niż wszelkie konkursy, mogłoby się przyczynić do ożywienia naszej produkcyi dramatycznej zastosowanie systemu, którego słaby zawiązek spostrzegamy w jednym z powyżej wymienionych warunków przy wystawianiu sztuk, zaleconych do grania przez komisyę sędziów, a mianowicie w wyznaczeniu autorom dwóch sztuk, mających największe powodzenie kasowe, 5% od dochodu. We Francyi, Niemczech lub Anglii autor kilku sztuk scenicznych, cieszących się powodzeniem, ma byt zapewniony. W skutek bowiem przyjętego tam zwyczaju tantyemy, każdy taki utwór przynosi mu mniej lub więcej znaczny stały dochód. U nas autor arcydzieła to samo otrzymuje wynagrodzenie, co fabrykant najnędzniejszej tandety, która tym lub owym zbiegiem okoliczności dostała się na scenę. Rzecz jasna, że w takich warunkach może jedynie pracować dla sceny autor, znajdujący się w tak korzystnych warunkach materyalnych, iż nie potrzebuje się oglądać na dochód z tej pracy, — a takich jest bardzo niewielu, — albo też jednostka, której praca na innem polu nie zapewniłaby większych korzyści, niż nadzwyczaj szczupłe honoraryum za utwór sceniczny.

Sądzimy też, że wyznaczenie tantyemy dla autorów dramatycznych dwóch sztuk, cieszących się największem powodzeniem, nie jest jednorazowem tylko ustępstwem, lecz próbą lub początkiem nowego systemu w wynagradzaniu autorów scenicznych.

P.

LISTY PARYSKIE.

III.

(Maurycy Maeterlinck).

Zanim przejdę do poezyi francuskiej — muszę wspomnieć o dramaturgu, którego imię od jakiegoś czasu z każdym dniem staje się głośniejszem. Nie jest to postępowiec, natchniony myślą demokratyczną, kwestya społeczna raz tylko musnęła go skrzydłem, jednak jako artysta ze wszech miar zasługuje on na uwagę. Można śmiało powiedzieć, że między nowszymi poetami nikt nie jest tyle poetą, ile on. Mam na myśli: Maurycego Maeterlincka.

Pochodzi z Belgii. Ten kraj, w którym z południa w ludność flamandzką wbija się klin Francuzów, wyrobił sobie, podobnie jak Szwajcarya, swoją odrębną literaturę. Szwajcarya posiadała Töpffera, teraz Varnery'ego, ludzi piszących po francusku, lecz w innym duchu, w innym tonie niż ich rodacy z nad Sekwany. Belgijczycy noszą nazwiska niemieckie, holenderskie, rzadko francuskie, i dość piszą po francusku, posiadają również inne cechy, niż Francuzi z Francyi. Zawikłani w walkę o rozszerzenie konstytucyi, o nadanie przynajmniej politycznych swobód ludowi roboczemu, wszyscy prawie są przejęci postępową myślą, wszyscy biją taranami w kruche mury dawnego ustroju. Pismo, około którego łączą się młodzi pisarze, walczący z hasłem socyalistycznem na ustach: *Nowe społeczeństwo* (Société nouvelle) jest miesięcznikiem, wychodzącym w języku francuskim. Imiona: Eekhoud, Lemonnier, Delattre, Borde, nie są znane w Europie, ledwie je słyszał kto we Francyi, a jednak kiedy tylko myśl postępowa francuska potężniej uderzy w skrzydła, literatura belgijska wkroczy do Paryża.

Także symbolizm, który i w Belgii zapuścił korzenie, posiada odmienne cechy charakteru, niż symbolizm francuski. Jest on bardziej zbliżony do nowego kierunku holenderskiego, uwydatniającego się głównie w młodych pismach: *Nieuwe Gids* i *Zingende Vogels*. Mniej tu chodzi o muzykę słowa, upośledzającą nawet sens jego, więcej o tajemniczość, ponurość. Przytem wszędzie prawie podchwytuje się to, co jest ogólno ludzkiem, symbolicznem, w przeciwieństwie nawet pewnem do symbolizmu francuskiego, który w ostatnim roku zmienił już swą dawną nazwę i przechrzcił się na romanizm, „zmierzający do wytworzenia poezyi, właściwej tylko rasie romańskiej."

Maurycy Maeterlinck ma około trzydziestki. Chodził na uniwersytet w Jand i tu z Grzegorzem Le Roy i Karolem van Lerberghe tworzył legendowe trio poetów gandawskich, o których Rodenbach nie dawno pisał z entuzyazmem w brukselskiem piśmie: *Jeune Belgique*. Wszyscy trzej zbierali się to u Le Roy, to u Lerberghe zawsze za temat rozmów obierając sobie poezyę smętną, melancholijną. Pierwszy Lerberghe odbił od brzegu: ogłosił zbiór poezyj p. t. *Flaiveurs*. Po nim już i dwaj drudzy nabrali otuchy: Le Roy wydał w r. 1887 Pieśń wieczorną, Maeterlinck: Cieplarnie (Serres chaudes).

„Cieplarnie" przeszły jednak niepostrzeżenie: smętna liryka, tajemniczy ton pieśni nie wielu wabiły. Wtedy Maeterlinck przechylił się ku dramatowi. W 1889 r. ogłosił jego nakładca i przyjaciel Lacomblez pięcioaktową jego tragedyę: *Księżniczka Maleine*. Jak błyskawica przebiegła ona Europę, pisma francuskie, angielskie, niemieckie, serbskie nawet rozpisywały się o niej. Z pism warszawskich: Przegląd tygodniowy, Tygodnik ilustrowany i Biblioteka warszawska umieściły o niej studya. We Francyi pierwszy otworzył usta do jej pochwał utalentowany powieściopisarz Oktawiasz Mirbeau, w Figarze podniósł jej zalety z wielkim zapałem, a samego Maeterlincka nazwał gandawskim Szekspirem. Wyrobił tem imię młodemu pisarzowi, a kiedy nowy dramat *Pelleas* i *Melizanda* miał ukazać się na półkach księgarskich, poważne pisma jak Echo paryskie, poświęciły mu wyczerpujące artykuły.

Po „Księżniczce Maleine" wyszły dwa małe dramaty: *Ślepcy* i *Intruz*. W roku zeszłym dodał do nich Maeterlinck trzeci, jednoaktowy utwór *Siedem księżniczek*. Równocześnie jął pracować nad wydanym przed dwoma miesiącami: Peleasem. Poświęcił go Oktawowi Mirbeau, nie wiadomo jednak czy z uznania dla tego pisarza socyalistycznych przekonań, czy też wskutek istotnej jakiejś zmiany przekonań, poruszając w nim w sposób właściwy wprawdzie jemu, ale mimo to bardzo sympatyczny, gorzką dolę kobiecą. Może przypadkiem tylko nawinął mu się temat do Peleasa, bo istotnie nie umiem z nim pogodzić wydanego w tym już roku Maeterlinckowego przekładu mocno katolickiego dzieła jednego z pisarzy szesnastego wieku Ruysbrocka: Małżeństwo duchowe (z Chrystusem) i zapowiedzianego w pismach

paryskich wyjazdu w podróż „do grobu świętego.“

Utwory jego to symfonie psychologiczne. Słowa dźwięczą w akordy strun, poezya jak woń balsamicznych kwiatów wschodu płynie ze wszystkich scen i obrazów. Zdaje się nam, że kroczymy przez lasy poezyi, naokoło świeżo zielono, przyroda uśmiecha się, słońce dzierzga listki złotem. Ale naraz coś tajemniczego wkrada się do boru, promienie zaczynają padać ukośnie, cienie i opary podnoszą się z jarów. Horyzont ciemnieje, omglewa się, słońce blednieje, cienie zalewają wszystko i naraz zlały się w jedno: drzewa i listki, znikło światło, czujemy w koło siebie chłód przenikający, widzimy niewyraźnie olbrzymie kształty czegoś, co kroczy ku nam by nas zdławić i w duszę wrywa się jakaś trwoga, jakiś lęk nieokreślony, ciemny, lęk przed naszem życiem, przed naszem przeznaczeniem, przed naszem istnieniem.

W. Bugiel.

(Dok. nast.)

POKŁOSIE LITERACKIE.

Kwartalnik historyczny. Rocznik VI, zeszyt III 1892.

Znakomity archeolog de Rossi znalazł w galeryi cmentarza podziemnego św. Pryscylli w Rzymie, szczątki sarkofagu konsula Maniusza Acyliusza Glabryona, który jako molitor novarum rerum skazany był na wygnanie, a potem zamordowany przy końcu pierwszego stulecia ery chrześciańskiej. To daje powód ks. Bilczewskiemu do rozprawy rozpoczynającej zeszyt III kwartalnika, z której czytelnik dowiaduje się, że Glabrio był chrześcianinem i że wogóle bardzo wiele rodzin szlacheckich, senatorskich, a nawet książęcych wyznawało wiarę Chrystusową przed Konstantynem. Po tej zbyt „specyalnej“ rozprawie, boć Kwartalnik naszą historję powinien mieć przedewszystkiem na oku, później dopiero powszechną, a na ostatnim chyba planie kościelną — p. F. Bostel uzupełnia ciekawemi materjałami, znalezionemi w archiwach galicyjskich, opowiadanie prof. Pawińskiego o ostatniej księżnie mazowieckiej. Następnie Tadeusz Korzon daje dzielną odprawę Szulginowi, autorowi nowej książki o Koliszczyźnie, który ze wstrętnemi iście mongolskiemi zapatrywaniami łączy bezczelność dowcipkowania nad ofiarami rozbestwionej tłuszczy hajdamackiej. W rubryce „Miscellanea“ znajdujemy wydrukowaną pierwszy raz w całości „relacją“ o oblężeniu Lwowa przez Chmielnickiego w r. 1648. W obszernym dziele „recenzyj i sprawozdań“ spotykamy oceny dzieł filologicznych, archeologicznych, sfragistycznych, numizmatycznych i t. d., a najmniej ściśle historycznych. Redakcya temu mało winna, bo cóż czynić jeżeli stu historyków (tylu ich pono mamy) zdobywa się w ciągu roku na parę dzieł i kilkanaście broszur i rozprawek. P. Józef Kallenbach bardzo grzecznie traktuje bezwartościową „Literaturę“ p. Brezy. Ostro natomiast występuje p. Gustaw Manteuffel przeciw Akademji umiejętności za druk pracy p. St. Ulanowskiej: „Łotysze Inflant polskich.“ Odmawiając tej pracy wszelkiej wartości przypomina p. M. prezesowi Akademji jego słowa, że brak odwagi w krytyce, wychwalanie wszystkiego... były klęską naszej literatury; ten sam skutek byłby, dodaje krytyk od siebie, gdyby najwyższa naukowa instytucja ogłaszała nadal tego rodzaju niedojrzałe prace. Bardzo ważny spis ważniejszych artykułów porozrzucanych po dziennikach, stale umieszczany w „Kwartalniku“ coraz więcej traci na wartości. W r. z. podawano „przegląd“ 40 pism polskich, w I kwartale r. b. tylko 33, a w zeszycie, o którym piszemy, tylko 24. W spisie ostatnim nie spotykamy n. p. artykułów Dziennika Polskiego, Dziennika Poznańskiego, Czasu, Kraju, Kurjera Polskiego, Kroniki rodzinnej, Myśli, Prawdy, Przeglądu Tygodniowego, Tygodnika Illustrowanego, Wędrowca itd. A nie czyni się to z braku miejsca, kiedy wylicza się takie artykuły jak „Historja lalek“ (Biesiada), lub życiorysik Tatarkiewicza (Gaz lwowska). Są przytem niedokładności, cytuje się np. Kurjera lwowskiego z artykułem bezimiennym o Al. Chodźce, kiedy był to przedruk z „Czasu,“ artykułu młodego Estreichera. Całość zeszytu słaba; — zaczyna w „Kwartalniku“ brakować .... Liskego.

Fuga Bacha powieść przez Esteję. Warszawa, bez roku (?) str. 371.

Hrabina Sieniawska wyszła powtórnie za ks. de Poligny, człowieka bez zasad, próżniaka, lubiącego tylko wesołe życie i... kobietki. Z dwóch córek księżny, Lila została żoną margrabiego de Groecka, brutala, gbura, „trzymającego krótko psy, konie i kobiety.“ Druga córka, Klima, nie chce Leona Bracławskiego, lecz choć zimna i niewierząca mężczyznom, oddaje swe serce panu Vero de Montroye. Ten zwykły szubrawiec (przepraszamy za wyrażenie, ale cóż jesteśmy winni, że w takie towarzystwo wprowadziła nas autorka), ucieka od Klimy, dowiedziawszy się, że dostanie za nią tylko 15 tysięcy franków renty. Lila deptana przez męża znajduje pocieszyciela w p. Vansocken. Klima nawraca się do Leona, lecz duma nie dozwala jej wyjawić swych uczuć. I byliby się ci młodzi kochali całe lata bezskutecznie i w tajemnicy przed sobą, gdyby nie dźwięki Fugi Bacha, pod których wrażeniem Klima odkryła stan swego serca Leonowi. Poczciwa Fuga ratuje i Lilę. Groeck dotknięty został paraliżem, Vansocken chce Lilę rozwieść, ale ta pod wpływem matki i krewnego księdza, zdobywa się na poświęcenie swych marzeń i pozostaje przy łożu męża. W strasznym stanie ducha, po udzielonej odmowie kochankowi, słyszy Lila Fugę Bacha „i słodycz i uciszenie wstępują do jej serca.“ Naiwna wiara autorki w wszechmocność Fugi Bacha, łączy się z mimowolną satyrą na nasze wyższe społeczeństwo. Gdyby wierzyć autorce, to grzęźnie ono w kosmopolityzmie i bezmyślnym flircie. Wstręt bierze do tych ludzi, umiejących tylko odwiedzać hipodrom, jeździć konno, jeść, pić, ubierać się, sprzedawać kwiaty „na ubogich,“ składać wizyty i romansować... ze wszystkiemi narodowościami. Czy rzeczywiście jest tak źle z naszą arystokracją? — wątpimy. Zdaje się, że jedynie płytkość pomysłów połączona z łatwością „wypisania się,“ stwarza podobne „Fudze Bacha“ powieści. A jest ich, na nieszczęście, coraz więcej.

K. B.

MISCELANEA.

*** Z powodu nowego wydawnictwa pn. „Przegląd emigracyjny“ pomieściliśmy niedawno w „Myśli“ artykuł, pióra jednego z najczynniejszych promotorów tego pisma, p. Antoniego Hempla, który odsiaduje obecnie karę w petersburskiej turmie za gorliwą pracę około oświaty ludu polskiego w Kongresówce. W artykule tym wyłuszczono cele i zadania „Przegl. emigracyjnego,“ co znajdujemy także w „Słowie wstępnem“ tego pożytecznego pisma, jakie już w dwóch zeszytach leży przed nami. Na szczególną uwagę zasługują w obu numerach „Przeglądu“ artykuły: „O żywiole polskim w St. Zjednoczonych północnej Ameryki,“ „O gorączce brazylijskiej,“ oraz list p. St. Barszczewskiego z Argentyny. Pismo przedstawia się pod względem treści bardzo dobrze i odda niewątpliwie duże usługi sprawie wychodźtwa polskiego. Społeczeństwo nasze winno uważać sobie za obowiązek przyłożyć rękę do rozwoju „Przeglądu,“ który istnieć może jedynie, przy rzetelnem poparciu czytającej publiczności. Galicya, słynąca, niestety, z grzebania pism — taką niefortunną, ale zasłużoną mamy opinię — może się przecież zdobyć na utrzymanie pisma o celach użyteczności ogólnej. Upadek „Przeglądu“ byłby sromotną kompromitacyą inteligencyi krajowej. Nowemu koledze na ciernistej drodze piśmienniczej życzymy szczerze powodzenia i systematycznego rozwoju. Adres redakcyi „Przeglądu“: Lwów, Brajerowska 20.

*** „Cavalleria rusticana“ głośna opera Mascagnie'go wystawioną została 26 z. m. po raz pierwszy w Krakowie przez personeal teatru lwowskiego. O samej operze, pełnej oryginalnych, samorodnych motywów pisano już tyle, poddano już tak ścisłemu rozbiorowi każdą nutkę tego arcydzieła, że uważamy za zbyteczne rozwodzić się nad samą kompozycyą, która porywa i czaruje słuchacza. Wykonanie „Cavallerii“ w Krakowie było tak udatne, że mogło nawet zadowolić wybredne wymagania tych, którzy mieli sposobność słyszeć operę Mascagniego na obcych scenach. Orkiestra, znacznie uzupełniona, pod dzielnem kierownictwem dyr. Jareckiego, spisała się doskonale; najtrudniejszy i najpiękniejszy zarazem fragment (intermezzo) wypadł bez zarzutu. W głównych rolach (Santuzy i Turidu) wystąpili: pani Kasprowicz i p. Jerzyna. Pani K. pokonała trudności wokalne partyi, miała nawet momenta bardzo dobre, gra jednak artystki pozostawiała nieco do życzenia — p. Jerzyna śpiewał z brawurą, a zasłużone oklaski, jakie ten utalentowany artysta zbierał, winny go skłonić do poświęcenia się karyerze operowej na seryo. Wystawa „Cavalerii“ i dokompletowane chóry świadczyły o staranności i zabiegach dyrekcyi, której też, a właściwie jej zastępcy p. Sachorowskiemu, należy się szczere uznanie.

*** Włodzimierz Tetmajer, utalentowany artysta-malarz, otrzymał w r. b. złoty medal od krak. Akademii sztuk pięknych za obraz p. t. „Taniec w karczmie.“ Sylwetkę dzisiejszego laureata, pióra p. A. Dobrowolskiego, pomieściło nasze pismo w roku ubiegłym. („Myśl“ z r. 1891. Na: 3 i 4.)

*** Tegoroczna wystawa uczniów krak. Szkoły Sztuk pięknych zaprezentowała się ilo-

ściowo bardzo niepokaźnie, w porównaniu z latami ubiegłemi. Talentów wybitnych „z Bożej łaski“ nie mogliśmy się wcale na obecnej wystawie dopatrzeć; niektóre obrazy zdradzały wprawdzie talenty swych twórców, ale talenty, będące dopiero w rozkwiciu, o których zadecydują dopiero ostatecznie: praca, siła fantazyi, rozwój zdolności i t. d.

Na ekspozycyi uczniów IV kursu (prof. Unierzyski) zwracały uwagę w dziale martwej natury prace: pp. Lakowskiego, Doleżana, Markowicza, Launera i Pomietły; w dziale żywej natury dzieła pendzla pp. Okonia, Sęka, Heppena, Sałomowicza i Moszkowskiego. Na kursie V malarstwa (prof. Löffler) zasłużyły na odznaczenie prace pp. Stefana Matejki (bratanka Jana) i Polityńskiego. Nagrody konkursowe przyznała dyrekcya w r. b. na oddziale malarstwa pp. St. Matejce i Piotrowi Lakowskiemu, pochwalną zaś p. wzmiankę St. Sękowi. W dziale rzeźby nagrody otrzymali: pp. Wacław Bębnowski i Jan Bąkowski.

*** „Przegląd Polski“ zamieścił ciekawą rzecz o nieznanym wierszu twórcy „Irydyona“ pt.: „Wiara“; jest on złożony z 40 strof 4ro wierszowych, z dodaną przez B. Zaleskiego datą 1839 r. i dopiskiem: „Własnoręczne Zygmunta Krasińskiego, dał mi je Konstanty Gaszyński.“

*** Panna St. Dzirytówna, utalentowana artystka teatru krakowskiego, zaangażowaną została od nowego sezonu do teatru hr. Skarbka we Lwowie. Podobno i pp. Żelazowscy opuszczają naszą scenę.

*** Pani Boczkaj, była artystka sceny lwowskiej, zaangażowaną została do „Carlteatru“ w Wiedniu.

*** Wydział filozoficzny w Getyndze zgodził się na dopuszczanie kobiet do studyów uniwersyteckich.

*** W Frankfurcie nad Menem otwartą została wystawa Werthera. Na wystawie tej znajduje się mnóstwo autografów, portretów i sylwetki osób, które w utworze Goetego odgrywały rolę. Prócz tego przedstawione są widoki miejscowości, gdzie w 1772 r. rozegrała się idylla Werthera Goetego. Dalej znajduje się ten sam poemat w starem wydaniu, tłomaczenia, jakoteż wertheriady, jakie po wyjściu Werthera w 1774 r. ukazały się tak licznie, wreszcie mnóstwo zajmujących ilustracyj.

Nekrologia.

† W dobrach swoich Wolicy, w gub. woł. zmarł śp. Antoni Narkiewicz-Jodko. Zmarły był miłośnikiem i znawcą sztuk pięknych, których dzieje opracował i wydał w trzech dużych tomach, ozdobionych licznemi rycinami. Śp. Narkiewicz-Jodko był także współpracownikiem wielkiej encyklopedyi ilustrowanej, do której pisał o malarzach szkoły holenderskiej.

† Józef Szafarkiewicz, znany profesor, zmarł w Poznaniu.

† W Kazaniu zmarł Walery Podwysocki, prof. uniwersytetu tamtejszego. Zmarły profesor poświęcał się głównie badaniom farmakologicznym i chemicznym.

† W Paryżu zmarł Kazimierz Chmielowski, reprezentant drukarni Chaixa, były uczeń szkoły polskiej w Batignolles, oficer de l'Instruction publique, komandor orderu „Medzidié.“

† Edward Wąż, zasłużony zbieracz zabytków starożytnych i materyałów do historyi polskiej, umarł temi dniami w Żytomierzu w 78 roku życia. Zbiory jego są nadzwyczaj cenne i bardzo bogate. Liczą bowiem przeszło 2.000 numerów.

† Franciszek Schneeberger (Artur Storch) znany powieściopisarz niemiecki, zmarł w Gracu.

† Ernestyna Friedrichsen, znana malarka scen rodzajowych, umarła w Düsseldorfie. Artystka, która pochodziła z Prus zachodnich, zawdzięczała sławę swoją obrazom, osnutym na polskich motywach. Do najgłośniejszych jej utworów należą: „Kryjówka powstańców polskich,“ „Modlitwa“ i „Odpoczynek w lesie.“ Artystka malowała z upodobaniem polskich włościan, polskich flisaków i melancholijne krajobrazy pruskiego Mazowsza. Obrazy p. Friedrichsen były kilkakrotnie odznaczone medalami na wystawach: wiedeńskiej i monachijskiej, a krytyka niemiecka wysoko stawiała jej oryginalność i technikę.

† Leon Cladel, powieściopisarz francuski, autor powieści rewolucyjnych, zmarł w Paryżu.

† W Mahrburgu zmarł w 85-tym roku życia b. profesor fizyologii Herman Nasse, znany z badań nad krwią, limfą i chylus.

† Ludwik Rawicz Rojek, dyr. tabuli krajowej, b. regens archiwum aktów polskich, znany heraldyk, zmarł we Lwowie.

Od Redakcyi.

Dodatku arkuszowego (powieści A. Kiellanda: „Śnieg“) przez miesiąc bieżący załączać nie będziemy, z powodów od nas niezależnych. Brak ten wypełniamy chwilowo, drukując w numerze szkice psychologiczne znanego czeskiego autora pt. „Pamiętniki sekundaryusza.“

Treść Numeru:



Z drukarni Aleksandra Słomskiego i Sp. w Krakowie. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Bornsztein.**